

nadodrże

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 24 650

CZYTELNIA

ZIELONA GÓRA 2 VIII — 15 VIII 1989 R.
ROK XXXIII NR 16 [699] CENA 60 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



TEMAT — JAK — ODRA

POWRÓT 'BŁĘKITNEJ' ARMII

SCENY

Dziennik *Mitros*
na
żużlu
Program tv na dwa tygodnie

Mitros
i zbrodnie



Gen. Wojciech Jaruzelski podczas ostatniego pobytu w Zielonej Górze w dniu 16 września 1980 r.

PREZYDENT

Wyszli z politycznego cienia i stanęli pośrodku sceny w pełnym świetle reflektorów. Jedyny, gdyż innych do zagrania głównej roli w spektaklu napisanym przez historię nie było. Został wywołany do tej roli przez niesłychanie trudną sytuację. Dramatyczna decyzja o ogłoszeniu stanu wojennego, bo innej formuły ówczesne prawo polskie nie znało, zaskoczyła tych, co dążyli do rozwiązań siłowych. Zostali internowani. Na Zachodzie zaczęto tworzyć wizerunek gen. Jaruzelskiego odwołując się do wzorców i stereotypów połączono-amerykańskich lub azjatyckich dyktatorów. Tymczasem Cezar zjadł Wisłę zapowiedział, że dążyć będzie do porozumienia narodowego, demokratyzacji życia w kraju, głębokiej reformy gospodarczej. I nie dawano tej zapowiedzi wiary. Ekstremiści na lewicy mieli za złe generałowi, że stan wojenny ma zbyt łagodny charakter. Uzyskany czas nie został wykorzystany do uporządkowania spraw PZPR, administracji państwowej, że oś na której kręci się kolo historii nie została pokropiona krwią. Wprowadzenie stanu wojennego, dziś o tym wiemy dużo więcej, uchroniło jednak Polskę przed znacznie większym nieszczęściem. Przygotowania do zbrojnej interwencji wojsk radzieckich w sprawie polskiej zostały przez część ekipy Breżniewa poczynione. Dla Polaków oznaczałoby to jeszcze jedną wojnę na straconych pozycjach, konflikt zbrojny o trudnych do przewidzenia skutkach. Zbrojna interwencja radziecka pogrzebałaby sprawę socjalizmu w oczach świata, być może na zawsze. Ogłoszenie stanu wojennego, na czele którego Wojciech Jaruzelski był, przy wszystkich negatywnych aspektach tego faktu, wpisało nazwisko generała w poczet wybitnych polskich mężów stanu. W końcu nasza historia nie obfituje w polityków, którzy na wyzwanie sytuacji odpowiedzieli tak, jak odpowiedzieć powinni. Adam Schaff miał rację wysuwając kandydaturę Jaruzelskiego do pokojowej nagrody Nobla.

Dziś nikt nie wątpi, że po stronie lewicy, czołowym orędownikiem porozumienia narodowego, procesu demokratyzacji z włączeniem opozycji w krwioobiegi oficjalnej polityki, wreszcie daleko idącej reformy całej gospodarki, jest właśnie Wojciech Jaruzelski. On jest

na czele tych, co wymiatają z polskiej ziemi ostatnie resztki stalinizmu.

Przyjaźielskie stosunki Wojciecha Jaruzelskiego z osobowością numer jeden światowej polityki — Gorbaczowem, nie przeszkadzają mieć przyjaznych kontaktów z prezydentami Mitterandem, Bushem, panią premier Thatcher. Niektórzy publicyści porównują Jaruzelskiego z Gorbaczowem i panią T., podnosząc odwagę, żelazną konsekwencję generała.

Wreszcie nie ostatnia, choć może mniej ważna sprawa. Dotychczas za najwybitniejszego stylisę spośród polskich polityków dwudziestego wieku uchodził Józef Piłsudski. General Jaruzelski pisze swoje przemówienia klarowną, barczącą dobrą polszczyzną.

Byłoby wielką niespodzianką, gdyby człowiek, który w Polsce zainicjował rewolucyjne przemiany, dając początek IV Rzeczypospolitej, nie został wybrany Jej prezydentem. Miałoby to bardzo negatywny rezonans wśród naszych sojuszników a i na Zachodzie niedobrą opinię. Potwierdzony zostałby pogląd o politycznych szaleńcach — Polakach.

General Jaruzelski, wybitna osobowość, ma wśród naszych rodaków tylu przyjaciół, co i zdecydowanych przeciwników. Siły są podzielone równo. I znalazło to potwierdzenie również w trakcie głosowań Zgromadzenia Narodowego. Nie ma większego znaczenia, jaką liczbą głosów Jaruzelski został wybrany. Troszcząc się o swoją tożsamość opozycja, również swoimi nieważnymi głosami wsparła kandydaturę Wojciecha Jaruzelskiego. Była ona bowiem oczywista i dla obozu reformatorów, i dla świata.

Prezydentowi Jaruzelskiemu przyszło sprawować ten najwyższy w Polsce urząd w bardzo trudnej sytuacji. Z całą pewnością nie będzie mu łatwo. Jest jednak tym, który udowodnił, że potrafi znaleźć odpowiedź na wyzwania.

RYSZARD ROWIŃSKI

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

„Brakuje fachowców i zaufania”

Na łamach dwutygodnika „Stilon gorzowski” (nr 14 z br.) opublikowano rozmowę z KRZYSZTOFEM ZARĘBĄ — wojewodą gorzowskim, którą przeprowadził MIECZYSLAW MISZKIN. Problemy w niej poruszone, chociaż ilustrowane miejscowymi przykładami, nie dotyczą tylko województwa gorzowskiego. Z rozmowy tej na zasadzie „przeglądu prasy” przedrukujemy obszernie fragmenty.

— W powszechnej i wyjątkowo jednomyślnie w tej sprawie opinii społecznej nie ma w kraju gorszego handlu niż gorzowski. Braki są kompromitujące. Ostatnio brakuje nawet żytelek. Co pan wojewoda o tym sądzi?

— Rzeczywiście, handel mamy kiepski, nie funkcjonuje on tak, jak byśmy chcieli. Marna jest sprawność ludzi, w tym na kierowniczych stanowiskach. Potwierdzeniem tej konstatacji jest fakt, że w dynamicie obrotów zajmowaliśmy 49 miejsce w kraju... Zdaję sobie sprawę i z tej słabości i będziemy dążyć do tego, by nastąpiła widoczna poprawa m. in. w sferze zaopatrzenia, zwłaszcza rynku żywnościowego. Podjęliśmy działania, by rozwinąć pion przetwórstwa spożywczego. Mamy jako województwo spore nadwyżki rolne i są one wywożone do innych województw lub eksportowane.

— Nie mówiąc o 20-30 procentach artykułów rolnych, które po prostu corocznie i bezpowrotnie marnujemy.

— Jest to, niestety, prawda. Marnowało się wiele żywności i do dziś marnuje, bo brakuje bazy przechowywania i przerobu. Ale w tej dziedzinie uzyskaliśmy pewne, wyraźne postępy. W przyszłym roku powstaną dwa nowe duże elewatory zbożowe w Strzelcach Krajeńskich i w Przytocznej, które umożliwią przechowanie zbóż, w warunkach zachowania przez nie wartości użytkowych. W Strzelcach Krajeńskich, Myśliborzu, Dębnie Lubuskim i u prywatnych producentów powstają obiekty przetwórstwa ziemniaków, owoców i warzyw. Tworzy się baza przetwórcza — niezbędny, rynkowy pośrednik między producentem, a półkami sklepowymi...

...W rzeczywistości, gdy mowa o handlu spożywczym, to tylko w piekarnictwie i w branży owocowo-warzywniej mamy jakąś równowagę podaży i popytu. I dla tego musimy także rozwinąć przetwórstwo mięsne i jajczarsko-drobiarskie, uzyskać w nich postęp — bo mamy w tych dziedzinach możliwości surowcowe. W ciągu najbliższych dwu lat nastąpi znaczna rozbudowa zakładu jajczarsko-drobiarskiego w Boleminie po przejęciu go przez kombinat rolny w Lubniewicach. Rozwinie produkcję piwa browar w Witnicy, powstaną zakłady przetwórstwa mięsnego i drobiarskiego w Murzynowie i w Witnicy.

— Mówimy ciągle o poczynaniach w sektorze państwowym lub spółdzielczym. A tymczasem niemałe możliwości ma chyba w tych dziedzinach wytwórczość prywatna. Na marginesie dodam, że — moim zdaniem — rozwija się ona w Polsce obecnie wprawdzie żywiołowo, lecz w sprzeczności z elementarnymi potrzebami społecznymi. Królują: butik, agencja gastronomiczna, kantory pośrednictwa i wymiany — słowem „biznesy” obliczone na szybki obrót i taki sam zysk. A gdzie piekarnie, drobne przetwórstwo, warsztaty, punkty napraw — słowem to, co jest potrzebne ludziom, którzy chcą kupić dobry, nie ceglany chleb, nietypową, nie PSS-owską wędlinę, naprawić radio, parasol itp... Czy nie jest winna tu np. polityka podatkowa, która łupi wszystkich „prywatniarzy” jednakowo. A tymczasem już w średniowieczu książę feudalny wiedział, że jeśli chce pozyskać pożądaną fachowców, to zwalniał ich na lata od podatków. Mówi się też, że wojewoda choć członek Stronnictwa Demokratycznego, a więc partii programowo wspierającej prywatnego producenta i „usługowca”, niewiele robi, by ten program własnego stronnictwa realizować w praktyce.

— Poruszył pan kilka kwestii, do których chciałbym się oddziennie ustosunkować. Po pierwsze uważam, że istotnie bardziej racjonalna polityka podatkowa stanowi szansę dla drobnej wytwórczości i że dotychczasowa istotnie była zła. Lansuję pogląd i będę walczył o to, by zwalniać od podatków nawet na dłuższe okresy, dawać ulgi podatkowe prywatnemu sektorowi w dziedzinach produkcyjnych i usługowych na podobnych zasadach, jakie stosuje się w budownictwie. Bo dotąd jest taka sytuacja, że nasze województwo stanowi klasyczny przykład totalnego wyniszczenia drobnej wytwórczości. Podczas, gdy zaraz po wojnie było w samym Gorzowie dziesiątki zakładów produkcyjnych zajmujących się wytwórczością lub przerobem żywności, to dziś np. mamy w województwie zaledwie 7 prywatnych masarni.

— Czy to zasługa pańskiego poprzednika na tym stanowisku?

Nie mogę tak twierdzić. Sądzę natomiast, że to rezultat całej powojennej polityki gospodarczej od lat 40-tych, gdy „wygraliśmy bitwę o handel”, która oznaczała w istocie likwidację wszelkiego handlu, konkurencji i inicjatywy prywatnej oraz spółdzielczej, poprzez kombinację rosnących progresywnych podatków i domiarów. W ten sposób zniszczono młyny, małe elektrownie, masarnie, rzeźnie, piekarnie. Na skutek tych praktyk dziś — mimo wyszukiwania i namów ludzi fachowych i chętnych — znaleźliśmy dwu producentów skłonnych uruchomić masarnię, dwu innych się jeszcze namyśla. Do niedawna prześladowano ich nie tylko podatkami. Niszczycieli ich te monopolistyczne państwowe organizacje gospodarcze np. przy pomocy limitów dostaw surowca. Bywało, że nie otrzymywali oni żadnej masy mięsnej do przerobu. Tymczasem dzisiaj aby stawić czoła potrzebom społecznym, należałoby uruchomić ze 100 masarni w województwie. Tylko skąd wziąć ludzi? Jedni stracili wiarę w „zielone światło”, inni po prostu wymarli. Brakuje więc i fachowców i zaufania.

A co do osobistej odpowiedzialności? Dlaczego akurat miałyby ona obciążać mnie? Pełnię swój urząd około 10 miesięcy, od września ubiegłego roku, a opisana polityka trwała ponad 40 lat. Zarzut traktuję jako nieporozumienie. Trzeba odbudować nie tylko mechanizmy ekonomiczne, ale i ludzką wiarę w sens podejmowania produkcyjnej działalności gospodarczej.

PO LIPCOWEJ ROCZNICY

Obchody, zresztą skromne, 45-rocznicy powstania Polski Ludowej zeszły w cieniu, wobec tego co się dziś u nas dzieje. Nad przeszłością zatrzymujemy się wtedy, kiedy mamy spokojniejszą głowę, a teraz myślimy przede wszystkim o współczesnych sprawach. Polska znów znalazła się na zakręcie dziejów i to po raz któryś od tamtego pamiętnego Lipca. Jeden głos, może właśnie ten oddany przez niezrzeszonego senatora Stokłosę, multimilionera, dawniej napisano — burżuazja, krwiopijce, wyzyskiwacz, na komunistę w Zgromadzeniu Narodowym zdecydował, że do głębokiego jak Atlantyk kryzysu gospodarczego nie doszedł jeszcze kryzys prezydencki, kryzys rządowy, o skutkach trudnych do przewidzenia. Wyrzucając na śmietnik historii pamięć o Bolesławie Bierucie, „wiernym uczniu Stalina”, jakim niewątpliwie był, tu i ówdzie padają głosy, żeby także wyrugować z naszych dziejów PKWN, „agenturę Moskwy”. Jak było w rzeczywistości, mógłby się na ten temat wypowiedzieć koronny świadek tamtych wydarzeń Osóbka-Morawski, sympatycznie przypomniany nie dawno przez TV. W PKWN-ie niektórzy doszukują się początków późniejszego u nas zła. Myślę, że w PKWN-ie można się również doszukać czegoś zupełnie odwrotnego. Nie tylko nasze dzieje są przecież mieszaniną osiągnięć i klęsk, decyzji trafnych i chybotliwych.

A powracając do Święta Lipcowego należy odnotować wiele spotkań, imprez, festynów w Zielonogórskim i Gorzowskim, na których najbardziej zasłużyli otrzymali odznaczenia państwowe i odznaki regionalne.

Za pięć lat Polsce Ludowej minie pół wieku. Czy to będzie jeszcze Polska Ludowa, czy już IV Rzeczpospolita Polska, jej powojenne początki sięgają będą Manifestu Lipcowego, dokumentu fundamentu naszej teraźniejszości. Taka jest po prostu prawda, bez względu czy się ona komuś podoba, czy nie.

POWRÓT DO TRADYCJI

Zdzisław Piotrowski, prezes Towarzystwa Miłośników Tradycji, należy z pewnością do najbardziej barwnych mieszkańców Zielonej Góry. Nie tylko dlatego, że często spaceruje w stroju staropolskim. Od wielu lat występuje z różnymi pomysłami. Niektóre warte są spełnienia. Ostatnio, powołując się na plan miasta z 1945 r. zaproponował, by przywrócić dawne nazwy trzem rynkom Zielonej Góry. Zdobył nawet przychylną w tej sprawie wielu zielonogórzan.

Prezes Towarzystwa Miłośników Tradycji uważa, że niektóre ulice w Zielonej Górze powinny nosić nazwiska szcze gólnie dla miasta zasłużonych osób, dziś już nieżyjących. I upomina się o ulice Klema Felchnerowskiego — wybitnego artysty malarza, Alfonsa Bogaczka — pioniera, drukarza, pierwszego po wojnie dyrektora zielonogórskich zakładów graficznych, długoletniego księgarza, organizatora korowodów winobranowych: Mikołaja Meszy i Jana Trze-

szcza — działaczy politycznych i społecznych.

Nieco na marginesie tej sprawy przypominamy, że od wielu lat postulujemy umieszczenie w ścianie Ratusza tablicy informacyjnej. W Zielonej Górze urodził się jeden z najwybitniejszych malarzy polskiego Oświecenia — Tadeusz Kuntze-Konicz, znany w świecie także jako Taddeo Polacco. Jedną z ulic w Zielonej Górze wprawdzie nosi jego imię, ale niewielu zielonogórzan wie, kim był Tadeusz Konicz.

Także w innych lubuskich miastach warto powrócić do niektórych dawnych nazw ulic i placów, świadczących np. o wiekowych związkach tego regionu z Polską. Także należałoby pamiętać o zmarłych, a niezwykle kiedyś aktywnych pionierach, zasłużonych w rozwoju Środkowego Nadodrza.

LAURY

Z „Jodłami” powróciły lubuskie zespoły z XVI Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej, który tradycyjnie już odbył się w Kielcach. Zespół piosenki i ruchu „Buziaczki i buziaki” ze Szkoły Podstawowej Nr 1 z Gorzowa, kierowany przez Izabellę Słupca, przywiózł Złotą „Jodłę”. Ponadto jury pod przewodnictwem Adrianny Ponieckiej-Piekutowskiej przyznało Srebrną „Jodłę” harcerskiemu zespołowi artystycznemu „Chichoty” z Zielonej Góry, którym opiekują się Irena Sobańska i Zdenka Urbanowa, zaś nagrodę specjalną zespołowi pieśni i ruchu „Bystre oczka” ze Szkoły Podstawowej Nr 3 z Krosna Odrzańskiego. Nagrodzono i wyróżniono kilkanaście zespołów z całego kraju.

Główną nagrodę „FAMY — 89” — „Złoty Trójząb Neptuna” (groźnie to brzmi, ale złoto to kruszyca szlachetna) otrzymał Władysław Sikorski, szef Formacji „Zaś” skupiającej trzy studenckie kabarety Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze.

Tegoroczna „FAMA” także szczęśliwą okazała się dla bardzo ciekawego zielonogórskiego teatru „Pars Pro Toto”, który za spektakl pt. „Epizod” w reżyserii i scenografii Romana Więkowskiego otrzymał nagrodę fundacji kulturalnej BSK z RFN.

A mówi się, że w lubuskiej kulturze posucha. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, jak to już głosił jeden ze świętych apostołów.

DOGONIŁA ICH NOSTALGIA...

...za Starym Krajem, który mimo wszystko jakże się zmienił. I ta nostalgia wywołuje w nich chęć przyjazdu Krajowi z pomocą. Przez kilka dni o-

bradował w Gorzowie (tu odsyłam szanownych Czytelników do felietonu „To tylko sport” nr str. 8) XI Światowy Sejmik Działaczy Polonijnych PKOl. Dyskutowano jak pomóc polskim sportowcom przygotowującym się do olimpiad — zimowej w Albertville i letniej w Barcelonie.

Zgłoszono wiele propozycji. Nie założano też tak nam potrzebnej twardej waluty. Kasa PKOl. w czasie pobytu Polonusów w Gorzowskim wzbogaciła się o 12 tys. dol. Ponadto sejmik zorganizowano na zasadach odpłatności. Podjęto kilka ważnych decyzji. M.in. postanowiono, że w przyszłym roku w Stalowej Woli odbędzie się Puchar Świata w piłce nożnej drużyn polonijnych, których jest sporo w różnych krajach.

Polonijni działacze PKOl. to niestety ludzie często w wieku bardzo zaawansowanym. Chcą pozyskać do działania na rzecz polskiego sportu pokolenie swoich wnuków, a także przedstawicieli najmłodszej emigracji. Następny XII Sejmik odbędzie się za dwa lata w Pułtusku.

W tym miejscu warto przypomnieć, że przed kilku laty w Zielonej Górze odbyły się tzw. „I spotkania polonijne z piosenką polską”. Drugie „spotkania” już się nie odbyły. Szkoda.

WIDOKÓWKA DREZDENKA

W znanym od lat z aktywności kulturalnej Dreźnie zorganizowano XI Plener Fotograficzny, którego tematem była właśnie „Widokówka Drezdenka”. W plenerze uczestniczyli członkowie prężnie działającego Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego Jesienią w miejscowym Domu Kultury będzie można obejrzeć bogaty plon pleneru — setki widokówek ukazujących ciekawą architekturę tego urokliwego miasta nad No-tecią.

DOM TURYSTY W GUBINIE

W ub. roku w czerwcu obok przejęcia granicznego w Gubinie otwarto Dom Turysty adoptując na ten cel starą, miejską łaźnię. Zatrzymują się tutaj na noc niektórzy turyści wyjeżdżający na Zachód lub powracający do Polski. Od otwarcia skorzystało z noclegów około 2 tysiące osób. Dom posiada 16 pokoi od jedno do czteroosobowych. Mieści się tu również klub Gubińskiego Towarzystwa Kultury, Ligi Ochrony Przyrody i PTTK. Jesienią planuje się uruchomienie ogólnodostępnej kawiarni. Placówka jest samowystarczalna. Jej twórcą i szefem jest Tadeusz Firlej, który etatowo pełni funkcję sekretarza oddziału PTTK. W przyszłym roku zamierza się w tym obiekcie uruchomić biuro turystyki zagranicznej i krajowej dla mieszkańców nie tylko Gubina.



WIECEJ NAM TAKICH Szanowna Redakcji!

Dużo o Waszej działalności słyszałem i trochę zazdrościsz, bo takiej nie ma w moim regionie. „Nadodrza” także bardzo sobie ceni Leszek Frey Witkowski ze Świebodzina. Tego właśnie twórcę Klub Młodej Inteligencji im. Bolesława Prusa w Hrubieszowie będzie gościł wraz z jego pracami. Większość to będą exlibrisy znanych postaci i organizacji. Nasz Klub chce tym udookumentować 30-lecie twórczości Freya. W Hrubieszowie będzie to jego pierwsza wystawa.

Freya poznałem w Nowej Soli na turnieju poetyckim o „Pierścieniu Kingi 88”. W lutym tego roku znowu doszło do spotkania także w Nowej Soli na 13-lecie Teatru TAQ. Natychmiast mnie o pomysły zorganizowania wystawy swoich prac w mojej rodzinnej miejscowości ci także w Zamościu. Prace swoje wystawi Leszek Frey Witkowski we wrześniu u nas, a w październiku br. w MDK w Zamościu. KMI wyda z tej okazji na ksero wszystkie exlibrisy, natomiast MDK opublikuje krótki życiorys twórcy i charakterystykę jego prac.

Żegnaj przypomnieć, że Frey na swym koncie ma około 150 wystaw indywidualnych oraz przeszło 350 zbiorowych w kraju i za granicą. Świebodzin może być dumny z tego twórcy. Chciałbym wyrazić na łamach „Nadodrza” podziękowanie za jego pomocną dla nas

dłoń. Jesteśmy młodym klubem i każda taka pomoc jest bardzo ważna. Trudno ciżym przyciągnąć młode środowisko tkwiące w marazmie i pozostawione samemu sobie. Frey wysyłając do nas oryginały swoich prac już wielu zainteresował problemami swojej twórczości.

Wiecej nam takich...

Serdeczne pozdrowienia dla Redakcji.
Bogusław Miazga
Grabowicka 20
22-500 Hrubieszów.

KTO UCZESTNICZYŁ W JURZY?

Szanowna Redakcji! Jako stały czytelnik „Nadodrza”, czytający w zasadzie wszystko co drukuje, od tekstów dużych formatów do małych not i informacji, mam nieodpartą pokusę zadać jedno pytanie, na które byłbym wielce rad, jeżeli można, otrzymać odpowiedź — a być może również nieobojętną dla innych czytelników — otóż jakiegoś anonimowego zgromadzenia osób przewodniczył red. Janusz Koniusz, które ustanowiło dla Wojciecha Czarniawskiego, Waldemara Mystkowskiego i Michała Kaziwo nagrody za książki?

Z poważaniem i serdecznymi pozdrowieniami
Mikołaj Zatorski
Zielona Góra

Od red. W jury, oprócz wyżej wymienionych, uczestniczyli: Czesław Sobkowiak, poeta, sekretarz ZO ZLP, krytycy — Małgorzata Kowalska-Masłowska i Zenon Łukaszewicz oraz Robert Gromadzki, poeta, prezes Klubu Literackiego LTK — ZLP w Zielonej Górze. Oba naszych czytelników dziękując im za listy, serdecznie pozdrawiamy.

LUBUSKIE PERSONALIA

IRENA BERLINSKA, l. 74 — mąż Wojciech, nauczyciel i działacz społeczny, nie żyje, dwie córki, syn, cztery wnuki — z zawodu nauczycielka, od 1945 roku w Babimście, gdzie wraz ze swym mężem pracowała w szkole podstawowej oraz na kursach repolonizacyjnych i dla analfabeta, w l. 54-56 kierownik Sekcji Historii Wojewódzkiego Ośrodka Kadr Oświatowych w Zielonej Górze, w l. 56-70 starszy wizytator Odziału Szkół Licealnych w zielonogórskim Kuratorium, od 1946 r. w Stronnictwie Demokratycznym m.in. wiceprezes WK SD i w Lidze Kobiet Polskich, od 1956 r. do chwili obecnej wiceprezidentka ZW LKP w Zielonej Górze, od 1981 członek Głównej Komisji Rewizyjnej tej organizacji, długoletnia przewodnicząca Komisji Rewizyjnej Lubuskiego Towarzystwa Kultury, działaczka Związku Nauczycielstwa Polskiego, przewodnicząca Rady Lawniczej Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, otrzymała tegoroczną Lubuską Nagrodę Kulturalną I stopnia za aktywną działalność w regionalnym ruchu kulturalnym.

Hobby: taktwo artystyczne.

ALINA CIEŚLIŃSKA, z d. Kotwicka, l. 64 — mąż Stefan, leśnik, c. Małgorzata Kaczurak, pracownik kultury, synowie Jan — oficer WP i Bogusław — oficer Marynarki Wojennej, czworo wnucząt, 5 psów, jeździ 30 chomików — urodzona w Krzemieńcu Wolińskim, od

1947 r. na ziemiach zachodnich, najpierw w Przylepie pod Zieloną Górą, następnie w Sulechowie, działaczka ZMW „Wici”, w l. 51-56 instruktorka tańca w Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej w Zielonej Górze, w l. 56-66 w klubie „Polskie Wzory”, także w Lubuskim Zespole Pieśni i Tańca, absolwentka Studium Tańca Ludowego przy Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Warszawie, autorka pracy „Folklor Ziemi Lubuskiej” (wydanej przez Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, W-wa 1975), pracowała m.in. z zespołami folklorystycznymi w Dąbrowie Wlkp. — przez dwadzieścia sześć lat — w Bojadłach, Bolesławcu, Gorzowie, Gubinie, Krzepielowie, Sulęcinie, Smieszkuwie, Nowej Soli, Poznaniu, Zielonej Górze, Zarach, także w Bad Freienwalde (NRD), została laureatką tegorocznej Lubuskiej Nagrody Kulturalnej I stopnia za propagowanie w kraju i zagranicą folkloru Ziemi Lubuskiej i kultury tańceowej.

Hobby: hodowla zwierząt, szczególnie psów.

BARBARA KOŁODZIEJSKA, l. 57 — mąż Adam archeolog, córki Maria i Tatjana — aktorki, synowie Bolesław, pedagog wch muz. i Włodzisław, student historii WSP w Zielonej Górze, troje wnucząt — studia etnograficzne na UAM pod kierunkiem prof. Eug. Frankowskiego, tamże w 1971 r. doktorat, od 1958 r. w Zielonej Górze: kierownik Działu Etnograficznego Muzeum Ziemi Lubuskiej, w l. 76-82 kierownik Parku Etnograficznego, od 82 r. dyrektor stowarzyszenia przez siebie Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze, z siedzibą w Ochli, przewodnicząca komisji etnograficznej Lubuskiego Towarzystwa

Naukowego, aktywna członkini Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, laureatka nagrody naszego pisma, autorka m.in. obszernej monografii „Rzemiosło garncarskie w Zielonogórskim” (LTN Ziel. G. — i WN Poznań 73) oraz ponad 40 publikacji w wydawnictwach zbiorowych i czasopiśmie naukowych, ukazujących przemiany kulturowe na Ziemi Lubuskiej, odznaczona m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, otrzymała tegoroczną Lubuską Nagrodę Kulturalną I stopnia za badania, gromadzenie i upowszechnianie sztuki ludowej na środkowym Nadodrzu.

Hobby: historia Francji, zwłaszcza epoka napoleońska.

GUSTAW ŁAPSIŃSKI, l. 46 — żona Irena, księgowa córka Daniela l. 12, uczennica, — z zawodu technik — ekonomista, w l. 45-66 na Opolszczyźnie, od 1966 r. w Świebodzinie, m.in. inspektor bhp, instruktor kulturalno-oświatowy, kierownik gospodarczy, magazynier, kolejarz, poborca podatkowy, rolnik, aktualnie starszy inspektor do spraw zaopatrzenia w Wojewódzkim Zespole Rehabilitacyjnym, w l. 78-80 wychowawca w Ochotniczym Hufcu Pracy w Warszawie, debiut poetycki „Barć kluczborska” (Wyd. „Ślask” — 1967 r.), ponadto „Kształt miejsca” (LTK Zielona Góra 1970), „Połe uprawne” (LTK — 1975), „Żywe drewno” (MAW W-wa 1979), „Spojrzenia” (Muzeum Ziemi Lubuskiej 1988), laureat wielu nagród za wiersze, opowiadania i reportaże, otrzymał tegoroczną Lubuską Nagrodę Kulturalną II stopnia i poszukuje sponsora, który by sfinansował wydanie legendy świebodzińskiej pt. „Opowieść o zbózcach, kacie i strasznych mieszczanach.”

Hobby: majsterkowanie, ogródek przydomowy, działalność kulturalna.

Odra, podobnie jak Wisła, związana jest nierozłącznie z dziejami naszego państwa i narodu. Z tego faktu, bogato udokumentowanego przez naukę, zrodziła się myśl o utworzeniu w Polsce (w ścisłym są to rzeczy znane) muzeów dwu największych polskich rzek, które to muzea dokumentowałyby naszą historię. Bo prawda jest także, że są to rzeki polskiego losu.

Pierwsze było Muzeum Wisły w Tczewie, które powstało w kwietniu 1984 r. Dwa lata później, w 1986 r. Jerzy Kultuniak, dziennikarz katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia wystąpił na łamach tygodnika „Perspektywy” z ideą utworzenia Muzeum Odry. Upatrywywał dlań ważne funkcje poznawcze i edukacyjne, wychodząc z założenia, iż splot dwu pojęć: Odra i Polska, podobnie jak Wisła i Polska, winien być nie rozłącznym elementem polskiej świadomości.

Jeśli odwołujemy się do symboli polskości, to Odra jest pośród nich jednym z najbardziej znaczących. Wiąże się ten symbol z narodzinami naszego państwa, trwaniem polskości na ziemiach oderwanych przez wieki od Polski, z jej powrotem w swe naturalne etniczne łóżysko, z odbudową i zagospodarowaniem ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich po roku 1945 oraz z wojennym ładem i trwałością granic w Europie. Stała się także Odra symbolem pokoju.

Idea przestrzennie pomyślanego Muzeum Odry, pomieszczonego wzdłuż kilkusetkilometrowego biegu rzeki, nie wymaga budowy nowych obiektów, bo

zeum Odry z wszystkich ośmiu nadodrzańskich województw. W spotkaniu udział wzięło około 100 osób: dyrektorzy muzeów wojewódzcy konserwatorzy zabytków, dyrektorzy archiwów państwowych, naukowcy, przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych, instytucji i przedsiębiorstw związanych z eksploatacją i zarządzaniem Odrą, działacze kulturalni, liczni dziennikarze. W pierwszym dniu obrad odbyła się sesja naukowa, której przewodniczył prof. dr Lech Leciejewicz, kierownik Zakładu Archeologii Nadodrza PAN we Wrocławiu. Wygłoszono trzy referaty: red. Jerzy Kultuniak — „Muzeum Odry — idea i realizacja”, dyr. Muzeum Narodowego w Szczecinie doc. dr hab. Władysław Filipowiak — „Odra — temat w historii i muzealnictwie”, dr Stanisław Januszewski z Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej „Ochrona zabytków techniki w programie Muzeum Odry”. W wyniku dyskusji, w której podkreślono wagę społecznego charakteru tego przedsięwzięcia uzgodniono, że czynnikiem koordynującym w skali całej Odry będą okresowe spotkania dyrektorów muzeów

zowano już w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu czasową wystawę kartograficzną pt. „Z nurtem Odry”. Otwarto ją w styczniu br. w kolejną rocznicę wyzwolenia Opola. Jest to bardzo ciekawa wystawa. Prezentuje odrzańską drogę wodną i przekształcenia, jakim ulegała ona w wyniku regulacji. Ponadto pokazuje miejsce bitew i polityczek nad Odrą, słowiańskie i polskie nazewnictwo, które zachowało się na starych mapach. W przyszłości wystawa ta zlokalizowana ma być w zabytkowej Wieży Piastowskiej i w sąsiadującym z nią pawilonie. W dalszej przyszłości w starych kamienicach nad Odrą ma powstać ekspozycja obrazująca rozwój rzemiosł związanych z rzeką.

We Wrocławiu zorganizowano wystawę pt. „Herby polskich miast nadodrzańskich”. Powstała ona w Archiwum Państwowym pod naukowym kierownictwem prof. dr Mariana Haisiga. Wystawa ta eksponowana będzie w innych miastach nad Odrą. W ciągu najbliższych dwu lat pod patronatem P.P. „Zegluga na Odrze” ma powstać wystawa obrazująca dzieje żeglugi odrzańskiej. Zamierza się zlokalizować ją na statkach wycofanych już z eksploatacji, które same są już zabytkami, zamurowanych w kanale odrzańskim w pobliżu Muzeum Narodowego i Panoramy Racławickiej.

W maju br. otwarto w Muzeum w

Z dziejów II Rzeczypospolitej

Powrót „błękitnej armii”

Teofil Lachowicz

W pierwszych tygodniach listopada 1918 roku rozpoczął się właściwy proces tworzenia niepodległego państwa polskiego. Do jego najważniejszych elementów należały zaliczyć powstanie centralnych władz państwowych i organizowanie sił zbrojnych. Naczelnikiem Państwa został Józef Piłsudski, a premierem pierwszy rząd centralny, socjalista Jędrzej Moraczewski. Władze te nie były jednak uznawane przez zwycięskie mocarstwa Ententy, które za jedynego reprezentanta interesów polskich uważały Komitet Narodowy Polski w Paryżu z Romanem Dmowskim, a za wodza zwierzchniego wszystkich polskich sił zbrojnych — dowódcę Armii Polskiej we Francji gen. Józefa Hallera.

Roman Dmowski, będący zarazem przywódcą Narodowej Demokracji, mając tak poważne atuty polityczne w swoich rękach, poszedł jednak na kompromis polityczny z Józefem Piłsudskim, ponieważ był zbyt doświadczonym politykiem, aby nie dostrzec roli i popularności Naczelnika Państwa w społeczeństwie polskim. W wyniku tego kompromisu nowym premierem rządu w Warszawie został Ignacy Jan Paderewski, światowej sławy pianista, który politycznie i ideologicznie związany z KNP w Paryżu był zarazem doskonale znany i poważany w politycznych kręgach państw zwycięskiej Ententy. Natomiast skład KNP w Paryżu został poszerzony o ludzi Piłsudskiego i od tej pory stanowił oficjalne przedstawicielstwo rządu polskiego w rozmowach pokojowych w Paryżu. Dzięki tym zabiegom nowy rząd w Warszawie został uznany przez wielkie mocarstwa i zarazem wyślana była się ostatecznie rola KNP w Paryżu. Na sfinalizowanie czekała sprawa armii gen. Hallera.

Początki tej armii związane są z dekretem prezydenta Francji Raymonda Poincaré z dnia 4 czerwca 1917 roku, w którym wyrażał on zgodę na tworzenie na terytorium jego państwa „autonomicznej armii polskiej, pod najwyższym dowództwem francuskim i walczącej pod sztandarami polskimi”.

Proces organizacyjny armii trwał faktycznie do wiosny 1919 roku. W jej skład weszło ostatecznie prawie 70 tys. żołnierzy polskich zbieranych głównie w obozach jenieckich we Włoszech (ok. 35 tys.), wśród emigrantów w USA i Kanadzie (ponad 20 tys.), pozostali ochotnicy pochodzili z Francji, Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii, Brazylii a nawet Japonii i Chin.

Znawcy przedmiotu twierdzą, że armia ta była najlepiej zorganizowaną i wyposażoną polską formacją wojskową ze wszystkich jakie wówczas istniały.

Dowódcą został gen. Józef Haller, który w lipcu 1918 roku przybył do Francji drogą morską z Murmańska, opromieniony sławą stoczonych walk z wojskami trzech zaborców, tj. z Rosjanami jako dowódca II Brygady Legionów, z Austriakami pod Rarańczą i z Niemcami pod Kaniowem. Wybór gen. Hallera na dowódcę Armii Polskiej we Francji był dość przypadkowy, ponieważ Komitet Narodowy Polski w Paryżu nie miał w danym momencie nikogo bardziej odpowiedniego na to stanowisko. Chociaż wysuwany kandydat nie miał żadnego przygotowania do kierowania tak dużym związkiem operacyjnym, to jednak zdecydowano się na to, ponieważ Haller już przed wojną był ideologicznie związany z Narodową Demokracją. Dzięki więc szczęśliwemu zbiegowi okoliczności a nie szczególnym zdolnościom politycznym czy wojskowym gen. Józef Haller wypłynął na szerokie wody ówczesnej polityki polskiej, stając się dla endecji nadzieją, że jego osoba, być może, skutecznie przeciwstawi się popularności, jaką w społeczeństwie polskim posiadał w tym czasie Józef Piłsudski.

W wyniku kompromisu politycznego pomiędzy KNP a Naczelnikiem Państwa, gen. Józef Haller stracił tytuł Wodza Zwierzchniego wszystkich wojsk polskich na rzecz Józefa Piłsudskiego, a „błękitna armia” (od koloru mundurów) miała zostać jak najszybciej przetransportowana do Polski, gdzie z ogromnymi nadziejami, jak i obawami, czekano na jej powrót.

Rozpoczęły się przewlekłe rozmowy i pertraktacje co do drogi i sposobu przewiezienia jej z Francji do Polski. Początkowo miała ona wrócić drogą morską przez Gdansk, ale takim rozwiązaniem bardzo niepokoił się rząd niemiecki, który słusznie uważał, że jeżeli do tego dojdzie, to Gdansk i Pomorze nieodwracalnie przejdą w ręce polskie. Na skutek wspólnych działań dyplomacji niemieckiej i angielskiej projekt ten został storpedowany. W zamian przedstawiono projekt przewiezienia polskiej armii drogą morską z portów francuskich do Szczecina i dalej koleją przez Stargard Szczeciński, Krzyż i Poznań. Ale i ten zamysł upadł. Rozważano również trasę przez północne rejony Włoch i Austrię. Ostatecznie zdecydowano przetransportować armię gen. Hallera do Polski transportami kolejowymi przez całe terytorium Niemiec.

Dopiero wiosną 1919 roku ustalono procedurę i warunki, na jakich miał się odbywać przejazd „błękitnej armii” przez obszar Niemiec. Opracowano harmonogram wyjazdów dla poszczególnych jednostek. Jako pierwsza, począwszy od 14.04.1919 roku została przewieziona do Polski Kwatera Główna gen. Hallera, 1 Dywizja Strzelców Polskich i oddziały lotnicze, a jako ostatnia od dnia 3.06.1919 roku 7 Dywizja Strzelców Polskich. Realizacja tej operacji przebiegała zgodnie z planem. Każdy żołnierz na czas podróży otrzymał żywność na 6 dni, ponadto za i korpusem wysłano prowiant dla 50 tysięcy ludzi i 10 tys. koni. W sumie do przewiezienia „błękitnej armii” użyto 383 pociągów. Przejazd oddziałów przez terytorium Niemiec odbywał się bez bronii, którą wieszono w oddzielnych, zaplombowanych wagonach. Do każdego pociągu przydzielano dwóch oficerów wojsk sprzymierzonych, którzy załatwiali wszelkie spory z Niemcami wynikłe na trasie przejazdu. Wśród tych oficerów był 28-letni kapitan armii francuskiej Charles de Gaulle, późniejszy generał i prezydent Francji.

Trasa tej podróży wiodła z Montreuil przez Metz — Luksemburg — Kobleniec — Wiesbaden — Fuldę — Gotha — Erfurt — Halle — Lipsk — Zagan — Glogów — Wschowa — Leszno — Kalisz — Łódź do Warszawy.

Uczestnicy tej niecodziennej podróży tak wspominali przejazd przez Niemcy: „Niesamowita to była podróż. Na dworcach kolejowych meldowali się oficerowie dowodzący transportem naczelnikowi stacji i w postawie na baczność składali raporty. Często było widać pod daszkami czapek służbowych oczy nabiegłe krwią bezsilnej ucieczki, widzieli bowiem dostаточно umundurowaną i świetnie wyposażoną armię, którą przepuszczali przez swój kraj, gdyż pokój nie był jeszcze zawarty. Te armie polską prasa niemiecka do niedawna nazywała „bandą obdartych najemników Ententy”. Kontrast między oficjalną propagandą a rzeczywistością był dla Niemców wstrząsem i upokorzeniem”.

Hallerczyk z USA Jan J. Przyprawa wspominał po latach: „Mijamy wzorowo utrzymane stacje kolejowe. Na drogach widzimy tłumy ludności zdążające do kościołów na wielkanocne nabożeństwa. Przy zamkniętych ramach na przejazdach kolejowych stoją Niemcy, którzy z nienawiścią wyrażają w naszą stronę pięści. Chłopcy, choć rozkaz był surowy, by nie wdziawać rogatywek, na złość widząc, odrzucili hełmy, siedząc w wagonach w rogatywkach, co musiało działać na Niemców jak czerwona szmata na rozjuszonego byka”.

W owym czasie w Niemczech występowały duże trudności z aprowicacją ludności w żywność. Zgłodniałe dzieci niemieckie często podchodziły do polskich transportów prosząc o chleb. Nasi żołnierze mający żywność na 6 dni rzucali im spore kromki. Wspomniany już Jan J. Przyprawa pisał:

„Godzinny postój na stacji Frouenberg. Zaciągnięto natychmiast strażę od strony stacji kolejowej. Niemiecy żołnierze patrolują z bagnetem na broni dwa tory dalej. Poza ogrodzeniem dworcowym tłum ciekawych Niemców. Wysypuje się wiara z pociągów na obiad. Dowództwo wie, że to Wielkanoc i że bez jakiegokolwiek powodu nie może, poleciło wydać każdemu nie jedno, ale po dwa jajka, choć co prawda nie święcone. Nasi paradują z tymi jajkami i białym, pszennym chlebem, wzbudzając tym zgrozde widoczną u niemieckich żołnierzy na posterunkach, którzy chyba dawno już nie widzieli takich przysmaków”.

Po przejechaniu środkowych Niemiec transporty z wojskiem polskim poczęły wjeżdżać na teren obecnej Ziemi Lubuskiej. Artur L. Waldo wspominał: „19.04.1919 roku przejechaliśmy przez Torgau, Falkenberg i Cottbus, zatrzymując się w drodze po kilka, a nawet kilkadziesiąt minut. Mineliśmy jeszcze Sorau (Zary), Sagan (Zagan) i 10 minut po północy staniliśmy na dworcu w Głogowie (Glogau). Tu byliśmy na ziemiach polskich, choć niemieckich. Uczyniliśmy w Głogowie długą postój. Pomimo późniejszego poru, na dworcu było bardzo dużo wojska — sławnych Grenzschtützów. Snać Niemcy obawiali się, byśmy nie dokonali jakiego zamachu, że nas tak strzegli”.

Wiesław Nodzyński

Temat jak Odra



Statek wycieczkowy „Goplana” na Odrze koło Nowej Soli.

Fot. Archiwum

one już istnieją, zyskała licznych sprzymierzeńców. Są wśród nich nadodrzańskie muzea, archiwa państwowe, placówki naukowe — badawcze związane swymi pracami z Odrą i Nadodrzem, towarzystwa regionalne, ogniwa gospodarcze i administracyjne. Przychylnie do idei Muzeum Odry odniosły się także władze polityczne i administracyjne województw nadodrzańskich. Ważnej pomocy naukowej udzieliły już i nadal udzielają Instytut Śląski w Opolu i Instytut Zachodni w Poznaniu. Zakład Badań Odrzańskich Instytutu Śląskiego przygotował w 1987 r. obszerne opracowanie omawiające infrastrukturę kulturalną strefy Nadodrza, w wą runkach której koncepcja ta jest realizowana. Ideę tego Muzeum wsparł Wainy Zjazd Towarzystwa Miłośników Wisły. Mówiwo o jej znaczeniu na Ogólnopolskim Kongresie Socjologów, a także na Ogólnopolskiej Konferencji Naukowo — Technicznej poświęconej transportowi śródlądowemu we Wrocławiu w 1987 r. Szczególnie żywym sojusznikiem okazało się P.P. „Zegluga na Odrze” a zwłaszcza jego dyrektor mgr Andrzej Szafranski.

Na ten temat ukazały się już dziesiątki publikacji, w których wypowie działeli się m. in. profesorowie Piotr Zambka, Dorota Symonides, Władysław Markiewicz, Janusz Kroszel, Andrzej Kwilecki, Antoni Czubinski, Władysław Jacher, Zygmunt Dulczewski oraz doc. dr hab. Władysław Korcz, dr Kazimierz Kozłowski, dr Jan Muszyński. Z aprobatą do idei Muzeum odniósł się minister Kultury i Sztuki Aleksander Krawczuk.

Idea Muzeum Odry zyskała poparcie wielu ludzi. Z początkowych rozmów i dyskusji na ten temat zrodziła się myśl o potrzebie spotkań środowisk wyc. Trud ich organizacji w poszczególnych województwach brały na siebie różne instytucje. Pierwsze takie spotkanie odbyło się w styczniu 1987 r. w Brzegu, w Muzeum Piastów Śląskich. Gospodarzem był Instytut Śląski w Opolu. W Zielonej Górze — Muzeum Ziemi Lubuskiej, we Wrocławiu — Dyrekcja „Zegluga na Odrze”.

W dniach 26 i 27 maja 1988 r. z inicjatywy prezydenta Głogowa i naczelnika Nowej Soli oraz kierownictwa muzeów w obu miastach doszło do roboczego spotkania organizatorów Mu-

zeum Odry z wszystkich ośmiu nadodrzańskich województw. W spotkaniu udział wzięło około 100 osób: dyrektorzy muzeów wojewódzcy konserwatorzy zabytków, dyrektorzy archiwów państwowych, naukowcy, przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych, instytucji i przedsiębiorstw związanych z eksploatacją i zarządzaniem Odrą, działacze kulturalni, liczni dziennikarze. W pierwszym dniu obrad odbyła się sesja naukowa, której przewodniczył prof. dr Lech Leciejewicz, kierownik Zakładu Archeologii Nadodrza PAN we Wrocławiu. Wygłoszono trzy referaty: red. Jerzy Kultuniak — „Muzeum Odry — idea i realizacja”, dyr. Muzeum Narodowego w Szczecinie doc. dr hab. Władysław Filipowiak — „Odra — temat w historii i muzealnictwie”, dr Stanisław Januszewski z Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej „Ochrona zabytków techniki w programie Muzeum Odry”. W wyniku dyskusji, w której podkreślono wagę społecznego charakteru tego przedsięwzięcia uzgodniono, że czynnikiem koordynującym w skali całej Odry będą okresowe spotkania dyrektorów muzeów

nowej Soli wspomnianą już wystawę „Przyroda w dolinie Odry”. Była ona połączona z sesją popularno — naukową oraz kolejnym spotkaniem koordynacyjnym Zespołu Organizatorów Muzeum Odry. Jesienią br. przewidziano otwarcie stałej ekspozycji w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu pt. „Brzeg i Odra” ilustrującej oblicze tego miasta w czasach piastowskich oraz wpływ Odry na jego rozwój. Odrzańskie ekspozycje powstają także w innych muzeach, m. in. na Ziemi Lubuskiej — w Muzeum Archeologii Środkowego Nadodrza w podzielonogórskiej Świdnicy i w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie. W Gorzowie Wlkp konkretyzuje się projekt spożytkowania dla celów Muzeum Odry obiektów fortecznych przy ujściu Warty do Odry w Kostrzynie. Przyszłe miejsce ekspozycji odrzańskiej to także Krosno Odrzańskie. W Szczecinie głównym miejscem rozbudowanych ekspozycji odrzańskich będzie Rejon Pamięci Narodowej — Cedynia, Gozdowice, Siekierki oraz sam Szczecin. Wspomnieć jeszcze trzeba o interesujących zamiarach stworzenia wystawy poświęconej odrzańskim portom i mostom oraz o zamiśle Muzeum w Gliwicach zorganizowania wystawy pokazującej dzieje kanałów Kłodzkiego i Gliwickiego. To tylko część interesujących inicjatyw.

Idea Muzeum Odry, wyrażająca się m. in. w postaci stałych lub czasowych wystaw, wymienianych między poszczególnymi placówkami muzealnymi ewokuje także inne przedsięwzięcia związane z potrzebą upamiętnienia się o należne tej rzece miejsce w naszej gospodarce, dbałość o jej zabytkową infrastrukturę, jaką stanowią często urządzone na techniczne odrzańskie szlaki wodne. Z tej idei wywodzi się wniosek przyjęty do realizacji przez Komisję Odry działającą przy Instytucie Śląskim w Opolu w sprawie utworzenia Związku Nadodrzańskich Miast i Województw. Ma to być społeczny organ inicjujący współpracę m. in. w zakresie poprawy czystości wód Odry i gospodarczego ich wykorzystania dla społeczno — gospodarczego rozwoju Nadodrza. Z kręgu organizatorów Mu-

zeum Odry z wszystkich ośmiu nadodrzańskich województw. W spotkaniu udział wzięło około 100 osób: dyrektorzy muzeów wojewódzcy konserwatorzy zabytków, dyrektorzy archiwów państwowych, naukowcy, przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych, instytucji i przedsiębiorstw związanych z eksploatacją i zarządzaniem Odrą, działacze kulturalni, liczni dziennikarze. W pierwszym dniu obrad odbyła się sesja naukowa, której przewodniczył prof. dr Lech Leciejewicz, kierownik Zakładu Archeologii Nadodrza PAN we Wrocławiu. Wygłoszono trzy referaty: red. Jerzy Kultuniak — „Muzeum Odry — idea i realizacja”, dyr. Muzeum Narodowego w Szczecinie doc. dr hab. Władysław Filipowiak — „Odra — temat w historii i muzealnictwie”, dr Stanisław Januszewski z Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej „Ochrona zabytków techniki w programie Muzeum Odry”. W wyniku dyskusji, w której podkreślono wagę społecznego charakteru tego przedsięwzięcia uzgodniono, że czynnikiem koordynującym w skali całej Odry będą okresowe spotkania dyrektorów muzeów

nowej Soli wspomnianą już wystawę „Przyroda w dolinie Odry”. Była ona połączona z sesją popularno — naukową oraz kolejnym spotkaniem koordynacyjnym Zespołu Organizatorów Muzeum Odry. Jesienią br. przewidziano otwarcie stałej ekspozycji w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu pt. „Brzeg i Odra” ilustrującej oblicze tego miasta w czasach piastowskich oraz wpływ Odry na jego rozwój. Odrzańskie ekspozycje powstają także w innych muzeach, m. in. na Ziemi Lubuskiej — w Muzeum Archeologii Środkowego Nadodrza w podzielonogórskiej Świdnicy i w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie. W Gorzowie Wlkp konkretyzuje się projekt spożytkowania dla celów Muzeum Odry obiektów fortecznych przy ujściu Warty do Odry w Kostrzynie. Przyszłe miejsce ekspozycji odrzańskiej to także Krosno Odrzańskie. W Szczecinie głównym miejscem rozbudowanych ekspozycji odrzańskich będzie Rejon Pamięci Narodowej — Cedynia, Gozdowice, Siekierki oraz sam Szczecin. Wspomnieć jeszcze trzeba o interesujących zamiarach stworzenia wystawy poświęconej odrzańskim portom i mostom oraz o zamiśle Muzeum w Gliwicach zorganizowania wystawy pokazującej dzieje kanałów Kłodzkiego i Gliwickiego. To tylko część interesujących inicjatyw.

Idea Muzeum Odry, wyrażająca się m. in. w postaci stałych lub czasowych wystaw, wymienianych między poszczególnymi placówkami muzealnymi ewokuje także inne przedsięwzięcia związane z potrzebą upamiętnienia się o należne tej rzece miejsce w naszej gospodarce, dbałość o jej zabytkową infrastrukturę, jaką stanowią często urządzone na techniczne odrzańskie szlaki wodne. Z tej idei wywodzi się wniosek przyjęty do realizacji przez Komisję Odry działającą przy Instytucie Śląskim w Opolu w sprawie utworzenia Związku Nadodrzańskich Miast i Województw. Ma to być społeczny organ inicjujący współpracę m. in. w zakresie poprawy czystości wód Odry i gospodarczego ich wykorzystania dla społeczno — gospodarczego rozwoju Nadodrza. Z kręgu organizatorów Mu-

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Powrót „błękitnej armii”

Ciąg dalszy ze str. 3

Siedzieliśmy właśnie z Generalem Hallerem w wagonie salowym i rozprawialiśmy o naszej podróży. Naraz drzwi wagonu z trzaskiem się otwierają i staje w nich niemiecki porucznik, tak typowy awany lejtnant, z monokiem i posiekaną twarzą. Wyprostował się, wyszukał wzrokiem Generała, zasalutował i zameldował swoje nazwisko — baron von Novak — oświadczył, że wprowadzić pociąg miał być oddany do rąk polskich w Lesznie, jednak postanowiono uczynić to już we Wschowie, a to ze względu na „wrogię bardzo usposobienie Polaków względem Niemców w Lesznie”. Niemcy wówczas zajmowali jeszcze to miasto i bali się aby z okazji przyjazdu Generała ludność polska nie wykurzyła ich z tego ważnego węzła kolejowego. Lejtnant von Novak zapytał jeszcze, czy General ma jakie rozkazy do wydania, ale General odparł, że nie ma do powiedzenia. Wówczas junkier zasalutował i oświadczył, że opuścił wagon. Był to pierwszy Niemiec, który podczas podróży wszedł do pociągu. Coś z dawnej Germanii nas zaleciało. Oni zawsze ci sami, zawsze butni i pewni siebie.

Było już dobrze po północy, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę i po półgodzinnej jeździe stanęliśmy w powiatowym miasteczku Wschowie (Fraus'adt) znajdującym się już w W. Ks. Poznańskim. Tu spotkaliśmy dwu pierwszych oficerów polskich w wojsku gen. Dowbora-Muśnickiego: porucznika Grossera i Karłowskiego. Wyszli do wagonu salowego i spręgowali się Generalowi. Oświadczyli, że pierwsza delegacja polska oczekuje naszego przybycia na stacji Kąkolewo za Lesznie, dokąd też przybędzie parowóz polski, aby nas wieść dalej ku swoim. Dowiedzieliśmy się przy okazji o ciekawym zajściu, jakie miało miejsce we Wschowie kilka dni temu, podczas postoju jednego z pociągów z polskim wojskiem. Mianowicie kilku ochotników z Grenschutzu skradło z wagonu zapieczetowanego kilka walizek oficerskich i sporo worków owsa. Na energiczny protest konwojujących oficerów sprzymierzonych władze niemieckie zwróciły wartość skradzionych rzeczy, wyraziły ubolewanie z powodu tego, co się stało, usunęły dowódcę dworca, którego miało oddać pod sąd oraz rozpoczęły dochodzenie sądowe przeciwko winnym kradzieży.

Jan J. Przyprawa mimochodem wspominał swój przejazd przez Ziemię Lubuską. „Zaczęły już nudzić każdego z nas te wzorowe gospodarstwa i dobrze utrzymane miasta i stacje kolejowe, przez które przejeżdżaliśmy. Nawet pogórki przechodniów w stronę pociągu już nie bawili nikogo (...). To też różnie nam zabili serca, gdy w poniedziałek wieczorem wjechaliśmy na stację Glogau — Głogów — bo wszak to już Śląsk, a choć dziś jeszcze niemiecki, to jednak dawniej polski, a co było nasze, będzie kiedyś nasze... Po krótkim postoju w Głogowie ruszamy dalej.”

Największe wzruszenia przeżywali żołnierze polscy przy przekraczaniu tymczasowej granicy polsko-niemieckiej. Najlepiej oddają to bezpośredni uczestnicy wydarzeń. Artur L. Waldo jadący w pierwszym transporcie z gen. Hallerem tak opisywał ten moment:

„O godz. 4 rano przejeżdżaliśmy front polsko-niemiecki i stanęliśmy w Kąkolewie, o kilkanaście kilometrów na zachód od Leszna. Był dzień 20.04.1919 r. Tu opuściliśmy wagon i stanęliśmy na naszej stacji polskiej. Lzy mimo woli do oczu mi napłynęły. Padłem na kolana i jak na relikwi świętej złożyłem pocałunek na tej polskiej ziemi. (...) Na dworcu w Kąkolewie, mimo zimna i nocnej pory powitał nas tłum rodaków. Nieustannie rozlegały się gromkie okrzyki na cześć gen. Hallera i jego wojska. W imieniu 1500 mieszkańców Kąkolewa przemawiał p. Calbecki. Na dworcu oddaje nam honory oddział 6 pułku strzelców wojsk powstańców. Zbliżają się do nas panie polskie z Polskiego Czerwonego Krzyża i podają Generalowi chleb i sól oraz z powodu Wielkiejnocy dzielą się fajkami z nim i z nami.”

Swoje zetknięcie z Polską tak wspominał Jan J. Przyprawa: „Z bijącym sercem czekamy na chwilę, gdy dotrzemy do granic odrodzonej Polski. Noc już zapadła, ale nikomu na sen się nie kleiło. Wreszcie około północy pociąg nasz wpadł na matną stację, ustrójoną w zieleń i barwy narodowe. Tu Kąkolewo! Pierwsza pograniczna stacja w odrodzonej Polsce. Na dworcu tłum ludzi. „Witajcie Hallerczyści!” — oto olbrzymi napis, jaki się nam rzucił w oczy. Ale pociąg nie zatrzymał się wcale. Minęliśmy pierwszą polską stację. Jakiś żal ogarnął nasze serca. Lecz po chwili pociąg znowa biega, czuć, że hamulce ostro pracują, a następnie cofa się. Okazało się, że prowadzący pociąg maszynista niemiecki chciał nas poznać i słysząc słowa powitania Polki przyjeżdżającej do niej i dlatego nie zatrzymał się na stacji Kąkolewo, aż dopiero na wyraźny rozkaz dowódców transportu musiał pociąg wstrzymać i cofnąć go do stacji, którą minął. (...) Ile tam padło łez szczęśliwych i serdecznych, ile tam wylało się drogiego i długiego tłumionego uczucia dla Polski, Bóg jeden raczy tylko wiedzieć. Bo nasi w uniesieniu patriotycznym rzucali się na tę drogą ziemię i całowali ją, a ścisali, jak ścisali się zwykło drogą matkę. Inni zdejmowali obuwie, by bosą stopą po polskiej stać ziemi. Inni stali w oniemieniu, jakby nie chcieli uwierzyć, że to już Polska...”

W pamiętnikach hallerczyków opisujących tę podróż pojawiają się następnie obrazy zamożnych gospodarstw w Wielkopolsce, nie różniących się od niemieckich, zniszczonych Kalisz i gwałtownie zmieniający się obraz kraju.

Artur L. Waldo pisał: „Zmienił się kompletnie krajobraz, jakby jakaś magia. Zamiast solidnych, muryrowanych dachówek krytych domów i gospodarstw, jakie widzieliśmy w Poznaniu, tu widzimy, nędzne, słomą kryte, do ziemi przycupłe chaty, których dotąd nie widzieliśmy... Drobną śnieg przysypał zaorane już pola. W poboczu toru skupia się licho odziana i bosa ludność. Odbarte dzieciaki podbiegają do pociągu prosząc o chleb. Nie muszą prosić. Każdy wyrzuca z pociągu, co ma pod ręką. Leżą bochenki chleba, które żołnierzowi mają starczyć jeszcze na kilka dni. Białe, pszenne chleby francuskie. Widać, jak zmorzone i zgłodzone dzieciaki rzucają się po niego, jak zjadają go łapczywie. Gdy brakło już żołnierzowi chleba, zaczyna wyrzucać to, co ma pod ręką w plecak. Leżą buty zapasowe, koce żołnierskie, zapasowa i ciepła bielizna amerykańska, którą przywieźliśmy z sobą z Ameryki...”

Po przyjeździe pierwszych oddziałów do Warszawy dnia 23.04.1919 roku na ulicach stolicy odbył się ich przemarsz zakończony defiladą na Placu Saskim. W imieniu władz państwowych gen. Hallera i jego żołnierzy powitał min. Stanisław Wojciechowski, późniejszy prezydent Polski. Warszawiacy zgotowali hallerczykom niezwykle serdeczne przyjęcie, a gen. Haller otrzymał honorowe obywatelstwo miasta Warszawy.

Tydzień później przyjechał z Wilna do Warszawy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski i tego samego dnia przyjął w Belwederze dowódcę „błękitnej armii”. Po spotkaniu gen. Hallera z Naczelnikiem Państwa armia ta została skierowana na front ukraiński, gdzie skutecznie przeszła do ofensywy, rozbijając siły Republiki Zachodnioukraińskiej. Nie od razu też została włączona w skład wojska polskiego tworzonego przez Józefa Piłsudskiego. Opory w tej kwestii miała „endecja” uważająca „błękitną armię” za ważny atut w swojej rozgrywce z Naczelnikiem Państwa. Sprzyjał temu fakt, że armia ta w dalszym ciągu podlegała jeszcze naczelnemu dowództwu i rządowi francuskiemu, a 60 proc. kadry oficerskiej stanowili oficerowie francuscy.

Zawód wielu zwolennikom „endecji” sprawił gen. Haller, który po powrocie do Polski zdecydowanie i po żołniersku podporządkował się rozkazom Naczelnika Państwa. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” z dnia 23.04.1919 r. stwierdził:

„Stosunek mój do Naczelnika Państwa wyraźnie podkreśliłem w liście do Marszałka Sejmu i do samego Naczelnika Państwa. Z chwilą, kiedy wstąpiłem na ziemię polską, podlegam władzy Naczelnika Państwa, który dzierży władzę z woli i w porozumieniu z Sejmem Rzeczypospolitej. Jestem sługą mego narodu i tutaj w Józefie Piłsudskim uznaję najwyższą władzę, jaką naród przez swój Sejm ustanowił.”

Ostatecznie armia gen. Hallera została włączona do Wojska Polskiego dopiero w październiku 1919 roku, pozostawiając po sobie wspaniałą legendę o „błękitnej armii”, pod której sztandary szli się bić o wolność ojczyzny Polacy ze wszystkich stron świata, a gen. Józef Haller do końca życia (zmarł w Londynie w 1960 r.) był jej żywym symbolem.

Niestety, z przykrością należy stwierdzić, że legenda ta z różnych powodów została skazana na zapomnienie. Wystąpiło to już w okresie tzw. rządów pomajowych w latach 1926-1939, jak i w czasach Polski Ludowej. Świadczy o tym chociażby fakt, że nie ma nigdzie nazw ulic, placów i szkół, które by — nosiły imię „armii błękitnej” lub jej wodza gen. Józefa Hallera.

Wydało się, że nadeszła wreszcie pora, aby ten stan rzeczy zmienić. Hallerczyści z całą pewnością na to sobie zasłużyli. Miejmy nadzieję, że w nowych, wznoszonych obecnie uśledach mieszkaniowych, np. Głogowa, Zagania czy Leszna pojawią się też nazwy ulic nawiązujące do tych pięknych, ale zapomnianych tradycji.

TEOFIL LACHOWICZ

Na podstawie meldunków otrzymywanych od swych agentów „wielki szef” nie przerywał bezcennej informacji do moskiewskiej centrali. Niezwykle wagi wiadomości otrzymuje od swojej siatki berlińskiej, w której ogromną rolę pełni wyższy oficer niemiecki pułkownik Schulze-Boysen, działający w naczelnym dowództwie Luftwaffe.

Oto niektóre: „Dla Dyrektora, źródło: Maria. Ciężkie działa obrony wybrzeża stacjonujące dotychczas w Prusach Wschodnich przetrzucane są na południe, z wyraźnym skierowaniem na front centralny”. „Dyrektor” to oczywiście Stalin.

Z tej informacji dowództwo radzieckie mogło wywnioskować, że głównym celem ofensywy niemieckiej pozostała Moskwa, albowiem przeznaczeniem tych armat mógł być tylko udział w ewentualnym oblężeniu stolicy radzieckiej. Niezwłocznie też podjęte zostały decyzje w sprawie budowy odpowiednich fortyfikacji i zapór przeciwzwozowych oraz skierowania tam dział, moździerzy i broni przeciwpancernej.

A oto inny meldunek: „Dla Dyrektora, źródło: Arwid. Hitler wydał roz-

Wielki szef wychodzi z cienia (2)

„Czerwona kapela” gra

kaz wzięcia Odessy do 15 września. Przeciagające się walki w kierunku południowym przyniosą poważne straty atakującym niemieckim oddziałom”. Informację tę otrzymał Trepper od oficera sztabu generalnego niemieckich sił zbrojnych. (Oberkommando der Wehrmacht).

Wszyscy informatorzy Treppera, nie zależnie od tego, gdzie działali, w Niemczech, Francji czy Belgii, czy byli wysokimi oficerami Wehrmachtu, urzędnikami petainowskiego reżimu Wichi, czy też tylko pocztowcami lub kolejarzami — bez wyjątku działali z pobudek ideowych, kierując się pragnieniem wnieśienia swego wkładu do walki z hitleryzmem.

Zaden z nich nie był najemnym szpiegiem, traktującym swoje rzemiosło jako popłatny zawód. Inni zawsze są skłonni, w razie wpadki, czy też licząc po prostu na wyższe honorarium, przejść do przeciwnika, czy też słupkę obu stron równocześnie — bez wątpienia większe dochody. Tego rodzaju ludzi nie było w rozgłoszonej siatce Treppera.

Dlatego też, gdy ktoś z nich został ujęty przez Niemców, nigdy żadnego nie udało się złamać i nawet najwymyślniejszymi torturami zmusić do złożenia zeznań. Ginęli na szafocie z podniesioną głową. Tak zginął wspomniany już Schulze-Boysen, pochodzący ze starej szlacheckiej rodziny pruskiej, którego tylko głębokie wewnętrzne przekonanie, że hitleryzm jest największym złem również dla narodu niemieckiego, popchnęło na drogę antyfaszystowskiej działalności. Tak zginęło wielu innych.

Tu chciałbym wrócić do asa radzieckiego wywiadu Richarda Sorge, rezydującego w ambasadzie niemieckiej w Tokio. Wspominałem już w poprzednim odcinku, że został on w końcu rozszyfrowany przez kontrwywiad japoński i osadzony w areszcie. Pomimo wielomiesięcznego dochodzenia nie udało się od niego niczego wydobyć.

Ciąg dalszy ze str. 3

Wszyscy piszący na ten temat historycy i publicyści zgodni są co do tego, że działalność jego przyniosła Związkowi Radzieckiemu niewymierne wręcz korzyści przyczyniając się — bez żadnej przesady — w sposób istotny do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami.

Szczególnie cenna była jego informacja przekazana w listopadzie 1941 do Moskwy, że koła rządzące Japonii podjęły już ostateczną decyzję, iż kierunkiem jej ekspansji wojennej będą Stany Zjednoczone i posiadłości kolonialne mocarstw europejskich (Anglii, Francji i Holandii) w Azji południowo-wschodniej a nie ZSRR.

Jak wiemy ze wspomnień chociażby marszałka Żukowa, dopiero ta wiadomość skłoniła radzieckie naczelnictwo do podjęcia decyzji o natychmiastowym przetrzuceniu dywizji dalekowschodnich na front moskiewski. Wzięły one następnie udział w słynnej bitwie pod Moskwą, która miała ogromny wpływ na losy całej wojny.

Stalin nie okazał żadnego zainteresowania ratowaniem swego wybitnego wywiadowcy i Sorge został stracony 7

listopada 1944 roku, tj. dokładnie w rocznicę Rewolucji Październikowej.

Już stojąc na szafocie wykrzyknął: „Niech żyje socjalizm, niech żyje Stalin!” Nie wiedział bowiem, że ginie w wyniku obojętności despoty, który mógł go wymienić za szpiegów japońskich schwytych w ZSRR.

Powróćmy jednak do działalności siatki wywiadowczej kierowanej przez Leopolda Treppera.

„Dla Dyrektora, źródło: Gustaw: Plan II-obowiązuje od 3 tygodni. Jego głównym celem jest zdobycie Moskwy oraz osiągnięcie linii Archangielsk — Astrachań do końca listopada”. W ten sposób radzieckie naczelnictwo zostało na czas uprzedzone o głównych kierunkach natarcia niemieckiego. Dane te przekazał berliński agent „Czerwonej kapeli”, najlepiej zorientowani w planach Wehrmachtu.

Tak np. w kolejnym meldunku, w którym Trepper powołuje się na informację uzyskaną ze sztabu generalnego ludowych sił niemieckich, gdzie rezyduje jego agent występujący pod kryptonimem „Arwid” podaje, że okolice Brińska zostały wyznaczone jako główne miejsce koncentracji wojsk niemieckich mogących uderzyć na Moskwę. Oczywiście po otrzymaniu tej niezwykle ważnej wiadomości, dowództwo Armii Czerwonej mogło w porę dokonać niezbędного przegrupowania swych sił aby stawić czoło temu zagrożeniu. Również cenna była informacja nadana przez łącznika z głównej kwatery Wehrmachtu, występującego pod pseudonimem „Moritz”, o stratach jednostek pancernych na froncie wschodnim, które sięgały równowartości pełnego wyposażenia 11 dywizji oraz, że posiłki, które napływają z Reichu, składają się w dużej części z szybko przeszkolonych żołnierzy, nie posiadających żadnego doświadczenia bojowego. Można było z tego meldunku wysunąć oczywisty

wniosek, że kontrakt radziecki na tego rodzaju jednostki wojskowe ma wszelkie szanse powodzenia.

Nie tylko zresztą w Sztabie Generalnym czy dowództwie Luftwaffe działali komórki wywiadowcze „wielkiego szefa” (takim mianem określił Treppera kontrwywiad niemiecki). Inni agenci rezydowali w ministerstwie uzbrojenia oraz w innych ważnych resortach państwowych. Płynęły stamtąd dokładne dane o produkcji samolotów, czołgów i dział, o ilości wytwarzanego paliwa i środków chemicznych. Siatka ma swoje „uszy” również w ministerstwie spraw zagranicznych Ribbentropa, skąd pochodziła informacja o poczynaniach tzw. „tajnej dyplomacji”. Pozwala to Związkowi Radzieckiemu na należyłą reakcję wobec usiłowań dyplomatów III Rzeszy, którzy chcą wbić klin pomiędzy sojuszników koalicji antyhitlerowskiej. Agenci znajdują się nawet w bezpośrednim otoczeniu führera, co umożliwilo śledzenie jego działalności.

Dane zebrane we Francji „wielki szef” przekazuje poprzez Brukselę. Są one tak samo różnorodne, liczne i dokładne jak meldunki napływające z berlińskiej siatki.

Oto niektóre: „Niemiecki sztab generalny zaproponował, aby w początkach listopada zająć linie obronne na całym froncie od Leningradu do Rostowa. Hitler odrzucił tę propozycję i wydał rozkaz decydującej ofensywy na Moskwę z zastosowaniem całej będącej do dyspozycji techniki wojennej”.

W kręgach wyższych oficerów szeroko rozpowszechnione było przekonanie, że w wyniku niepowodzenia „Blitzkriegu” na Wschodzie, zwycięstwo w wojnie na dwa fronty jest wykluczone. Stąd nacisk na Hitlera, aby skłonić go do zawarcia separatystycznego pokoju z Anglią.

Kolejnym meldunkiem: „Sztab generalny Wehrmachtu jest rozdrażniony i poirytowany ciągłym wtargnięciem się Hitlera do spraw operacyjno-taktycznych”. I dalej: „Niemiecki wyższy oficer informuje nas o rosnącej wrogości żołnierzy włoskich w stosunku do reżimu faszystowskiego. Władze wojskowe sabotują partyjne instrukcje. Możliwość woj skowego zamachu stanu jest całkowicie realna ale w najbliższym okresie mało prawdopodobna”.

Jak wiadomo przewrót ten nastąpił 26 lipca 1943 r.

Rzeczywiście, po upadku Mussoliniego, oddziały niemieckie wkroczyły natchem na północ, zajmując większą część kraju łącznie z Rzymem. A więc i ta informacja okazała się bezbłędna. ZSRR mógł zawiadomić swych zachodnich sojuszników o mających nastąpić wydarzeniach. Wątpliwość co do tego rodzaju wiadomości dla Anglii i USA trudno przezprzeć.

MICHAŁ HOROWICZ

Temat jak Odra

Muzeum Odry poszukuje więc ludzi przyjaznych. Widzi ich we władzach miast i miasteczek nadodrzańskich, które dostrzegają jednoś interesów rze ki i powierzonych ich pieczy organizmów miejskich, wśród organizatorów stref wolnocłowych w odrzańskich portach a także i tych, którym marzy się stworzenie odrzańskiej „białej floty”, która żywiłaby ruch turystyczny na tej pięknej krajobrazowo rzeczce. Znajduje ich też wśród działaczy ZHP (mo że wzorem akcji „Bieszczady” czy „Frombork” obozowa akcja „Odra”) czy PTTK. O korzyściach z tego płynących niech świadczą dobrze rozwijająca się współpraca z Zespołem Historii Techniki i Architektury Przemysłu we Instytucie Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej. Ostatnio pod kierownictwem dr. Stanisława Januszewskiego z tegoż Instytutu zorganizowano wspólnie Studium Podpływowo Specjalistyczne nt. „Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki odrzańskie” go szlaku wodnego. Na przełomie czerwca i lipca br. odbył się dwudniowy wyjazd z Gliwic do Szczecina uczestników tego studium, zainteresowanych naukowców i dziennikarzy na udziale nionym przez „Żegluga na Odrze” stałku szkolnym „Westerplatte II” inwentaryzowano i dokumentowano naj-

wartościowsze zabytki tej techniki. Rejs zakończono ogólnopolską sesją naukową zorganizowaną w Muzeum Morskim w Szczecinie, zatytułowaną: „Muzeum Odry a społeczne aspekty muzealnictwa i ochrony zabytków odrzańskie szlaku wodnego”. Studium to ma być kontynuowane w latach następnych, a zainteresowani są nim również muzealnicy i konserwatorzy zabytków z RFN i Francji, współpracujący z wspomnianym wyżej Instytutem.

Generalnie zaś idzie o to, że Odra wymaga stałej troski ekologów, inżynierów, wszystkich użytkowników jej wód, dbałości o nią władz lokalnych i centralnych. Muszą interesować się nią również archeolodzy, historycy, muzealnicy, konserwatorzy zabytków, gdyż Odra to nie tylko twór przyrody, wielki zbiornik wodny i szlak komunikacyjny. To również tysiącletni świadek naszej historii i jeszcze dalsze przeszłości, droga wodna znacząco cenniejsza niż bytami techniki, obrosła dziedzictwem cywilizacyjnym, za ochronę których jest stałym odpowiedzialni dzisiaj i wobec przyszłych pokoleń, wobec europejskiej kultury.

P.S. W tekście wykorzystałem materiały z obszernego opracowania na ten temat red. Jerzego Kultuniaka.

WIESŁAW NODZYŃSKI

„Bardzo się kochali
inni zabijali
przeciw ludziom nigdy przeciw sobie
teraz leżą razem w grobie
świat nie zapomni
Clyde'a i Bonny'...”

Miłość i zbrodnia

Droga z Gibsland do Sailes w stanie Louisiana w USA 23 maja 1934 roku. Blade słońce ledwie wschodzi nad pobliską Arkadią. Zimno. W przydrożnych krzakach leży sześciu uzbrojonych mężczyzn. To policjanci. Od wielu godzin na czatach. Dla dowodzącego grupą kapłana Franka Hammera ten rano będzie decydujący o dalszej jego karierze. Hammer przeżył 15 tysięcy mil, idąc krwawym szlakiem Bonny i Clyde'a. Dziś już mu się nie wini.

Na drogę wchodzi się czarny ford V-8, należący do Bonny i Clyde'a. Policjanci wyskakują z ukrycia. Rozpoczyna się ostra strzelanina. Bonny i Clyde nie mają szans. Policjanci stanowią przewagę. Już po kilku minutach para młodych przestępców staje się cięższą o trzy funty ołowiu... Amerykanie mogą odetchnąć ze spokojem. Dwuosobowa, groźna banda terrorystów Parker-Barrow już nie istnieje.

Wraz ze śmiercią tych dwojga zaczyna tworzyć się ich legenda. Powstają piosenki, wiersze, opowieści. W 1967 roku reżyser Artur Penn kręci film pt. „Bonny i Clyde”, czym ostatecznie czyni ich bohaterami. Film obiegł ekrany całego świata, a Bonny i Clyde są dziś najsłynniejszą parą przestępców naszego stulecia.

Najsłynniejszą, ale nie jedyną. Bohaterami legendy jest także francuska para morderców, działająca na początku lat 70-tych: Jacques Mesrine i jego kochanka Janou Schneider. Swoją legendę mają oświecony terrorysta zachodniomiejscy Andreas Baader i Gudrun Ensslin. Do legendy przeszła też córka multimilionera prasowego Patty Hearst wraz ze swym porwaczem Williamem Woltem.

Ballady, książki, filmy. A więc faktycznie mordercy i zbrodniarze stają się bohaterami! Temat ten zaprzęta głowy socjologów i psychologów. Rozważania tych przypadków doprowadziły do stworzenia teorii przestępców, mających tłumaczyć nie tyle postępowanie dwojga młodych ludzi, co otaczające ich zainteresowanie, sławę, podziw i sympatię: „dwoje przeciw światu”, „miłość jako izolacja”, „bez szansy na powrót”, „działanie na wyobraźnię” i „śmierć brutalna”.

DWOJE PRZECIW RESZCIE ŚWIATA

Na początku filmu Clyde mówi do swej nowej przyjaciółki Bonny: „Moja siostra, mogłabyś mieć wielu bogatych facetów”. Dziewczyna odpowiada, że nie chce żadnych bogatych facetów. „Ale życie ze mną będzie ci miało trudne i niespokojne” — ostrzega Clyde. „Obiecujesz mi to?” — upewnia się Bonny, patrząc na Clyde'a lśnącymi oczyma. I postanawiają wspólnie walczyć z przekupną Ameryką lat 30-tych.

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Clyde Barrow, 21-letni homoseksualista, nerwowy i porywczy (w filmie Penna jest impotentem) zetknął się z młodszą od siebie o dwa lata nimfomanką Bonny Parker, która natychmiast zakochała się w nim. Działo się to w Cement-City, w stanie Texas, w 1930 roku. Byli razem do momentu, gdy Clyde został aresztowany i skazany na więzienie za różne drobne przestępstwa.

Gdy w lutym 1932 roku na mocy generalnej amnestii Clyde wyszedł na wolność, Bonny czekała na niego. Pożycie ich układało się zgodnie, choć często z udziałem tego „trzęsienia”, dla zaspokojenia ogromnych zapotrzebowań seksualnych Bonny.

Wkrótce całą Amerykę poruszyła seria morderstw. Zaniepokojone zostało nawet podziemie. Boss amerykańskich gangsterów John Dillinger zabronił swoim ludziom udzielania jakiegokolwiek pomocy bandzie Barrow-Parker. „To są monstra żądne tylko krwi, szkodzą wszystkim, a nam psują opinie” — powiedział.

Pierwszą ofiarą zbrodniczego duetu był jubiler John Bucher w Hillsboro. Bonny i Clyde wpadli do sklepu, a Clyde błyskawicznie przyłożył jubilerowi łufę pistoletu do zęber. Kiedy ten krzyknął przestraszony, Clyde pociągnął za cyngiel. Zgarnął łup w wysokości 40 dolarów i uciekł. Kilka dni później padli od kul dwaj mężczyźni, ponieważ zwrócili uwagę Clyde'owi, że ten pije alkohol, pomimo zakazu.

Ulubionymi ofiarami Bonny i Clyde'a byli policjanci. Pewnego razu młody policjant nieświadomy z kim ma do czynienia, zsiadając z motocykla odezwał się przyjaźnie „hello”. Bonny strzeliła do niego, a gdy osunął się na ziemię, stanęła nad nim w rozkroku i wypaliła dwukrotnie w głowę. „Popatrzcie, głowa podskakuje mu jak piłka” — zawołała. Scenę tę zrelacjonował potem trzeci członek bandy Daniel Jones, który wówczas już od miesięcy był na granicy załamania nerwowego, a po tym wydarzeniu wycofał się.

Łącznie z rąk Bonny i Clyde'a śmierć poniosło dziesięciu policjantów. Bonny robiła zdjęcia, na których figurowali oboje, z bronią w rękach, przy zdemolowanych samochodach i zwłokach zamordowanych ludzi. Zdjęcia wysyłała prasie i policji.

„Wypowiedziałem walkę światu. Nienawidziłem świata. Byłem dumny, że mam na tyle siły, by walczyć ze światem i gardzić nim” — napisał Jacques Mesrine w swej autobiografii pt. „Dziś do śmierci”. Mesrine był wrogiem publicznym numer jeden we Francji i Kanadzie.

Pierwszego morderstwa dokonał z miłości. Zakochał się w pięknej prostytutce Sarah, której opiekun siedział w więzieniu. Kiedy po uwolnieniu opiekun wyszedł, pobił Sarah. Wówczas Mesrine zabił go w sadystyczny sposób. Zwałił go do lasu, rozebrał do naga i tak długo nakładał mu ciała sztyletem, aż ten umarł. „Dla prawdziwych mężczyzn kula w leń, dla takich brudnych facetów — brutalna śmierć” — skomentował zdarzenie Mesrine w swej napisanej w więzieniu książce.

Mesrine miał wiele kochanek, także żonę i z nią troje dzieci. Wreszcie poznał Janou Schneider, która od chwili poznania towarzyszyła mu we wszystkich przestępstwach. „Była mi przyjaciółką, kochanką i współniczką, o jakiej marzy każdy mężczyzna” — napisał o niej Mesrine. Napadali, zabijali, uprowadzali. Raz napadli na więzienie w celu uwolnienia przyjaciół. Mesrine pięciokrotnie sam uciekał z różnych więzień.

MIŁOŚĆ JAKO IZOLACJA

W filmie Bonny pyta Clyde'a: „Nie przeszkadza ci to, że jestem stale przy tobie?” Clyde odpowiada: „Mam wrażenie, że jestem tylko z tobą sam”. Sami na świecie, wszystko inne zbędne, niepotrzebne, zniechędzone. Bonny i Clyde uważali, że tylko oni zna leżli najwyższe spełnienie miłości. „Sam sobie wystarczamy, nie potrzebujemy nikogo” — twierdzą w filmie. W rzeczywistości było to trochę inaczej...

Dla Baadera i Ensslin rewolucja i miłość były sprawami nie do rozdzielania. „P... i strzelać, to dla mnie jedno” — powiedział Andreas Baader w palestyńskim obozie treningowym, co potem cytowała prasa. Natomiast Gudrun Ensslin w liście do Baadera pisała z więzienia Stammheim: „Ulrike Meinhof, jej uśmiech przyciąga mnie... A uławićwie przeciwko tobie. Przeciwno nam, przeciwko rewolucji...”

Patricia Hearst, córka króla prasowego Randolpha Hearsta i spadkobierczyni jego fortuny, 4 lutego 1974 roku została uprowadzona przez członków grupy terrorystycznej o nazwie „Symbione Liberation Army”. Rozmowy między porwaczami i ojcem Patty zostały w pewnym momencie przerwane, bowiem dziewczyna zakochała się w jednym z porwaczy i stanęła po stronie terrorystów. Hearstowie otrzymali taśmę z nagraniem głosem córki. Patty nazwała rodziców „nazistami”, „kapitalistycznymi świniami” i „owadami”, a swego narzeczonego 27-letniego Stevena Weeda, naukowca, „sex-monstrum”.

W dwa miesiące po porwaniu panny Hearst banda napadła w San Francisco na Hibernia-Bank, którego prezydentem był ojciec przyjaciółki Patricji — Tris Tina. W napadzie brała udział Patricia, z bronią w ręku. O swym kochanku-terrorystę Patricja Hearst mówi prosto i szczerze: „Był to najczulszy i najczuwniejszy mężczyzna, jakiego można sobie wyobrazić. Kochaliśmy się w sposób szczególny. Przedtem czegoś takiego nigdy nie przeżywałam. Nasz związek nie bazował, jak wszystkie inne, typowe związki burżuazskie, na tych ogólnie znanych i szanowanych, zakochanych wartościach”.

BEZ SZANSY NA POWRÓT

Udziałem w napadzie na bank Patty Hearst spaliła sobie mosty umożliwiający jej powrót do normalnego życia. Oboje z kochankiem zachowywali się tak, jak Bonny i Clyde. Niemożność powrotu do przyzwoitego życia traktowali jako jeden z dowodów wzajemnej miłości. Przy tym niemożność tę wciąż piętrzyli i powiększali, niczym barykadę, oddzielając ich od świata.

Dyrektor FBI Clarence Kelley przyznał nie bez trudu, że poszukiwania Patricji Hearst w ciągu 19 miesięcy od chwili jej zniknięcia, kosztowały pięć milionów dolarów. W tym czasie czarno włosą córką multimilionera wzięła udział w 21 przestępstwach. Ani razu, poza wystąpieniem na początku wspomnianej taśmy, nie skontaktowała się z rodziną.

„Zdecydowałam się zostać i walczyć” — mówi Patty na taśmie wysłanej rodzicom — „teraz jestem żołnierzem i nazywam się Tania. Nadaliśmy sobie imię na wzór jednej z towarzyszek, które walczyły u boku Che Guevary w

Boliwii”. W rzeczywistości było to imię kochanki Che, przy czym Cujo, czyli William Wolf marzył, by stać się drugim Che. „Cujo był romantykiem i miał o sobie wielkie wyobrażenie” — wspomina Patty w wywiadzie w 1982 roku.

Ta tak pożądana i dobrowolna izolacja była zarazem szczęściem i cierpieniem. Cierpienie nasilało się, gdy para przestępców siedziała w więzieniu, oczywiście nie „zdem, bez możliwości udowodnienia sobie głębokich, wzajemnych uczuć. Andreas Baader będąc w więzieniu Stammheim, pisał do Ensslin i Meinhof: „To wy, zdeorientowane świni, wy jesteście problemem i obciążeniem. To wy jesteście tymi, którzy mogą nas wykończyć, co nigdy nie udaloby się policji i sądom...”. Jednakże Gudrun Ensslin umiała załagodzić zdemotywowania i niepewności Baadera. Nawet listownie.

DZIAŁANIE NA WYOBRAŹNIĘ

Od czasu sfilmowania historii Bonny i Clyde'a, czyli od 22 lat, na ich grobie w Arkadii codziennie czyjaś ręka kładzie świeże kwiaty. Za życia nie mieli ani jednego przyjaciela — w całej południowo-zachodniej części USA. Teraz mają swych fanów.

Jacques Mesrine zyskał sobie sprzymierzeńców, ponieważ występował przeciwko niehumanitarnemu systemowi więziennictwa, który, jak twierdził, „wrażliwych i delikatnych ludzi zamienia w zwierzęta”. Siedząc w więzieniu potrafił, przy pomocy Janou Schneider, powodować pożądane przez siebie reakcje prasy. Nie tylko. Kierował nawet akcjami przestępczymi. Przebywając za kratkami organizował uprowadzenie sędziego nazwiskiem Petit. W końcu musiano zamknąć Mesrine'a w najcięższym więzieniu w Kanadzie.

Zdjęcie Patricji Hearst, podczas jej 19-miesięcznego pobytu w podziemiu, wisiało w formie ogromnego plakatu we wszystkich liberalnych uniwersytetach w całych Stanach Zjednoczonych. Obok widniał symbol „Symbione Liberation Army” w kształcie siedmiogłowej kobry, a całość otaczał napis: „We love you, Tania”.

Lewicująca młodzież amerykańska wzięła w tej bogatej, byłej studentce historii sztuki, bohaterkę, odwagę protestującą przeciwko „systemowi”. „Jest ona dziś żyjącym wspomnieniem o owym radykalnym plomieniu, który w latach 60-tych i na początku 70-tych świecił jasno nad całym naszym krajem” — napisano niedawno na łamach „Rolling Stone”.

Kiedy rozpoczynały się rozprawy sądowe przeciwko Patricji Hearst, w Seattle wyleciał w powietrze wielki supermarket, „na cześć Tani”. Sala sądowa wypełniona była członkami grup terrorystycznych, głównie „Black Panther”. Po rozprawach rozlegała się chóralna pieśń z refrenem: „Uwolnić Tanię!”

Baader i Ensslin mieli wprost magiczny wpływ na ludzi. Liczbę ich zagorzałych sympatyków i wielbicieli określano na ponad dziesięć tysięcy osób. Dla tych fanów para Baader-Ensslin oraz Ulrike Meinhof byli kimś w rodzaju Robin Hooda, walczącego w imię interesów ludzi biednych i słabych.

ŚMIERĆ BRUTALNA

Bonny i Clyde skończyli niezbyt romantycznie, podziurawieni kulami. Na liczone w ich ciałach aż 160 pocisków. Jacques Mesrine po wielu latach bezskutecznego ścigania go przez Interpol, został zastrzelony w swym samochodzie, w październiku 1979 roku. William „Cujo” Wolf spalił się żywcem w momencie, gdy policja wysadziła w powietrze jego kryjówkę. Andreas Baader i Gudrun Ensslin w październiku 1977 roku popełnili samobójstwo w więzieniu Stammheim.

Jedynie Tania czyli Patricja Hearst, ścigana przez agentów FBI od Alaski po Nowy Jork, po aresztowaniu we wrześniu 1975 roku i procesie, przeobraziła się na powrót w grzeczną córeczkę tatusia. Mało tego. Wysłała za mąż za... policjanta.

Socjologowie i psychologowie są zdania, że kara śmierci oraz jej wcześniej szła wizja, to bardzo ważna cegiełka w budowaniu legend kryminalnych. Taką cegiełką jest również śmierć gwałtowna, zadana przez policję lub samo bójstwo. Widać to wyraźnie na przykładach Baader-Ensslin oraz Parker-Barrow. W tej osobliwej „mitologii” podkreślony jest fakt, że te pary zbrodniarzy całkiem świadomie „niszczyły za sobą mosty i z miłości szły razem na najgorsze”.

Tłumaczyła i opracowała

BEATA BARTOSIEWICZ



Rozmowa z Hansem Nielsenem

Dzentelmen na żużlu

Sport żużlowy miał i ma wiele znakomitości. Jedną z największych gwiazd światowego speedwaya jest Duńczyk — Hans Nielsen. 26 grudnia tego roku skończy 29 lat, których po nim zupełnie nie widać. Wszystkich jego laurów nie potrafią już zliczyć nawet najbardziej skrupulatni kronikarze i statystycy...

Wystarczy powiedzieć, że tylko na krajowych torach żużlowych Hans Nielsen wywalczył już 14 tytułów mistrza świata! Był 2 razy mistrzem indywidualnym (1986-87), 8 razy drużynowym (1978, 1981, 1983-88) i 4 razy mistrzem świata w jeździe parami (1981, 1986-88). To tylko złote medale. Spora jest też jego kolekcja srebrnych i brązowych „krążków”. Na tym z pewnością się nie skończy. Hans nadal jest w wybornej formie i niewątpliwie jeszcze w tym roku powiększy swój zbiór trofeów. Myślę, że najnowszym jego laurem będzie „złoto” w finale mistrzostw świata par w Lesznie.

Hansa Nielsen'a znam od wielu lat. Spotykamy się podczas różnych imprez, nie tylko na stadionach. Znam go więc dość dobrze i mogę powiedzieć, że jest jednym z największych dzentelmenów w żużlowym towarzystwie. Zawsze fair i grzeczny, z błyskotliwą techniką, a przy tym nad podziw skromny i uczynny. Profesjonalista w każdym calu.

Ostatnio Hans był w Polsce w czerwcu. Startował w Poznaniu w turnieju o Puchar Targów i kolejny raz wzbudził aplauz publiczności. Po zawodach była też okazja do rozmowy.

— Hans, marzyłeś o żużlowym „hat-tricku”, czyli trzech tytułach indywidualnego mistrza świata z rzędu. Po triumfie w Chorzowie i Amsterdamie, przed taką szansą stanął w ubr. w Vojens. Dlaczego nie udało się?

— Faktycznie, bardzo chciałem dokonać tej sztuki, która dotąd udawała się tylko Ivanowi Maugerowi w latach 1968-70. Miałem jednak trochę pecha. Po kolizji z Perem Jonssonem ze Szwecji potłukłem się, musiałem też zmienić motocykl i to mnie zdekoncentrowało. Podobnie jak mój kolega z reprezentacji Erik Gundersen, zgromadziłem 14 pkt. i w wyścigu barażowym przegrałem z nim. Druga sprawa, że ja w 1986 r. wygrywałem w Chorzowie, pozabawili Erika możliwości uzyskania „hat-tricku”. W Vojens on spłatał mi podobnego figla...

— Od wielu lat wydajesz się być idealnym żużlowcą. Czy możesz jeszcze po prostu swoje umiejętności?

— Może zabrzmi to nieskromnie, ale rzeczywiście od kilku sezonów jeżdżę mi się bardzo dobrze. Myślę jednak, że nigdy nie należy uważać, iż już wszystko się potrafi, bo to może być początek końca... Zawsze staram się jeszcze czegoś nauczyć.

— Od czasu do czasu próbujesz sił także na długim torze.

— Nie jeżdżę na nim zbyt często, co wynika z napiętych terminów, konkurencja ta wymaga też innego sprzętu, który, bywało, zawodził mnie. W tym roku potraktowałem MS na długim torze bardzo poważnie i postaram się o... złoty medal.

— Patrząc na jazdę najlepszych żużlowców świata, więc naturalnie i twoją, możemy zauważyć, że o sukcesie decyduje nie tylko doskonała technika, ale i inteligencja. Co jest ważniejsze?

— Myślę, że jest to swego rodzaju kombinacja — powiązanie techniki z inteligencją. Kiedy dodamy do tego jeszcze duże doświadczenie (w moim przypadku jest to 13 lat startów w lidze angielskiej), to można liczyć na sukcesy.

— Wspomniałeś o lidze angielskiej. Czy rzeczywiście jest ona przepustką do światowej elity?

— Doświadczenie zdobyte w lidze angielskiej podkreśliłem nie bez powodu. Bez stażu w tych rozgrywkach i ciągłego w nim udziału, niezmiernie trudno jest wzbicie się na wyżyny. Mówią o tym również fakty. Od czasu Jerzego Szczakiela, który był mistrzem świata w 1973 r., na najwyższym podium IMS nie stanął nikt, kto nie zetknął się z ligą angielską. Nawet dość przypadkowy mistrz z 1983 r. Egon Mueller występował na Wyspach. Widzę w Polsce wielu młodych, utalentowanych zawodników. Bardzo przydałaby się im jazda w lidze angielskiej.

— Od ośmiu lat polscy żużlowcy nie startują w Anglii. Bywało tak, że nie zgadzały się na to ich kluby...

— I chyba dlatego nie macie obecnie takich sukcesów, jak za czasów Edwarda Jancarza, Zenona Plecha i kilku innych, którzy naprawdę świetnie spisywali się w British League U nas w Danii też się czasem zdarza, że jakiś klub nie chce zgodzić się na wyjazd swego zawodnika do Anglii, ale spory te są szybko rozwiązywane, a efekty widać. Myślę, że polski speedway też sobie poradzi z tym problemem.

— Hans, dlaczego od 9 lat jeździsz na motocyklu z silnikiem „Godden”?

— Jest to silnik bardzo mocny, trwały i dla mnie niezawodny, dlatego pozostaję mu wierny. Każdy zawodnik powinien dobrać sobie taki motocykl, jaki mu najbardziej odpowiada.

— Twój kombinizon jest cały oblepiony efektownymi reklamami. Ile ich jest?

— Zaskakujące pytanie. Doprawdy nie wiem.

— A co z tych reklam masz?

— Nie narzekam. Wielu sądzi, że wyłączenie pieniądza jest różnie. Niektóre firmy reklamują za pieniądze, inne za nagrody rzeczowe lub wsparcie sprzętowe, jeszcze inne gratisowo. A poza tym wydaje mi się, że kombinizon z kolorowymi napisami jest po prostu ładniejszy...

— Zobaczymy się teraz w Lesznie, gdzie pewnie wystartujesz w parze z Gundersenem?

— Tak, to będzie mój najbliższy przyjazd do Polski, gdzie zawsze czuję się świetnie, myślę, że sympatycznie będzie i tym razem. A propos — czy w Lesznie też będzie przy mikrofonie?

— Tak i wierzę, że będę mógł mówić same dobre rzeczy o żużlowcach...

— Ja w każdym razie postaram się o to.

— Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnego tytułu.

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

Szczypta Oriente

Z Hawany poleciliśmy do Holguin, gdzie z Polski rzadko zaglądamy, dziś czwar tego czy piątego miasta na Kubie, do dawnej prowincji Oriente, teraz podzielonej na pięć okręgów administracyjnych. W ten sposób Holguin, jak swego czasu Zielona Góra i Gorzów dla przykładu, też pewnego dnia awansował na stolicę regionu i zaczął się szybko rozrastać. Przed kilkunastu laty pobudowano tu dużą, pierwszą na Kubie, fabrykę produkującą kombajny do zbioru cięgie największego na tej wyspie bogactwa — trzciny cukrowej. Niedawno Bułgarzy postawili w Holguin wysokiej klasy hotel. Kilometrami ciągną się nowe osiedla. Tych, którzy tu po raz pierwszy przyjeżdżają, wiezie się na najbliższe wzgórze, skąd Holguin widać jak na dłoni. Z zieleni bujnie się krzewiącej wyłania się biel, czerwień, pomarańcz, brąz starych i nowych domów. Te, które mają więcej niż jedno piętro, najczęściej pobudowano już w ostatnich latach. Niewielkie kiedyś miasto — dziś liczy ponad trzyście tysięcy mieszkańców. Z dawnych, wąziutkich uliczek, bez chodników, wjeżdża się nagle na szerokie, pełnomiejscowe arterie. Holguin, jak wszystkie miasta na Kubie, nieco senne, oziębiało w południe, ożywia się przed wieczorem.

Wszystko, co się zaczynało na Kubie, zaczynało się w tej części wyspy. Ze czterdziestu kilometrów od Holguin, niespełna pięć wieków temu, w uroczej zatoce Bariaty Krzysztof Kolumb zakotwiczył swoją fregatę i zszedł na ląd. Stąd rozpoczęła się kolonizacja Kuby. Stąd na cały kraj niosło się zarzewie buntów i wojen wywoływanych. Tu, w Santiago de Cuba, największym mieście dawnej wielkiej prowincji Oriente, w dniu 26 lipca 1953 roku, kiedy świat fascynował się zupełnie innymi wydarzeniami, 163 młodych ludzi z karabinami w ręku rzuciło się na koszarę Moncada. Ci, którzy ocalili, w kilka lat później próbowali jeszcze raz. Na jachtach „Granma”, który jest dziś narodową relikwią, w osiemdziesięciu dwóch wyładowali na Playa de las Coloradas, niewielkim cypelku wynajającym się w Morze Karaibskie. Po pierwszym potyczce z żołnierzami Batisty pozostało ich, całych i zdrowych, dwunastu. Dwunastu jak w ewangelii, jak w poemacie Błoka. Każdy na własną rękę miał się przedrzeć w góry Sierra Maestra. Po pierwszym czasie spotkali się w umówionym miejscu. — Ile nas jest? — zapytał Fidel Castro. — Pięciu — odpowiedział jego brat, Raul. — Ale mamy siedem karabinów. I wtedy Fidel miał powiedzieć to słynne, po tysiącokrotnie później powtarzane: — Venceremos! Zwycięzimy. Trzecim w tej piątce miał być także bardzo młody ale z pewnością najprzystojniejszy z nich, lekarz z Meksyku, Ernesto Guevara, zwany „Che” czyli jakby kumpel, przyjaciel, brat lata. Jak tam było, trudno dziś dociec. Każde wydarzenie wysokiej miary, nawet dla tych, którzy w nim uczestniczyli, ma swoją prawdę i swoją legendę. Nie wszyscy urodzili się bohaterowie tamtych lat w wieku męskim dochowali wierności ideałom swojej młodości. Można powiedzieć, że Judasz jest postacią, która powtarza się w każdym miejscu i w każdym czasie. Tylko wymiar jego postępu ciągle się zmienia.

Powróćmy do Oriente, bogatej w wydarzenia, hojnie obdarzonej przez naturę prowincji ciągnącej się jakby pociągami Kuby, pomiędzy niewysokimi — górami, skąd rozpoczęła się nowoczesna cywilizacja Ameryki. Oriente to ciągle inna Kuba, gdzie tradycja szybko i mocno zagnieżdża się we współczesności i nie daje się zepchnąć na margines jak w wielu innych miejscach nie tylko tej gorącej wyspy. Oriente to może dziś ta najprawdziwsza Kuba. Każde państwo wydaje się mieć jeszcze takie prowincje...

Mario Nieves Cruz jest wysokim, przystojnym Murzynem, których wielu spotyka się w Oriente, gdzie wpływy afrykańskie są stare i mocne. Nieves to po hiszpańsku znaczy „śnieg”, być może któryś z przodków Mario był biały, ale on nie zawraca sobie tym głowy. Przy powitaniu na lotnisku wydał, mi się oszły i zarozumiały, ale te fałszywe na pierwszy rzut oka luski szybko opadły. Mario okazał się serdeczny, kontaktowy i niezwykle troskliwy o nas, tylko od wczesnego rana do późnego wieczoru zajęty i zapracowany. Jego prawdziwym domem jest ośrodek telewizyjny, poza hawajskim, najlepiej wyposażony na Kubie, bez przesady chluba całej prowincji. Pokazał go nam, jako jego szef, od studia nadawczego po przeróżne zakamarki. Chciałby, żeby na antenie kubańskiej telewizji zaraz po Hawanie, wiadomo: stolica, był Holguin, to, co się tutaj właśnie dzieje, natychmiast oglądał cały kraj.

Mario przewodniczy w Holguin oddziałowi UNEAC-u i ta funkcja także zabiera mu sporo czasu. Union Nacional de Escritores y Artistas de Cuba, zrzeszający w tym kraju wszystkich pisarzy i artystów, w Holguin liczy 48 członków, w tym 12 pisarzy. Książki wydają oni najczęściej za lokalne, komunalne fundusze, bo w wydawnictwach Hawany trudno im się przebić. Nawet władze maleńkiej Gibary, do której pojechalimy później, też chcą na wydawanie książek. Za książki otrzymuje się tu różniczne nagrody, miejskie, wojewódzkie, ale nikt z tej dwunastki wyłącznie z pisania nie żyje.

Mario przed kilku laty przeżył swoją wielką, męską przygodę, o której opowiada pasjonująco; wojnę w Etiopii, kraju obszarowo trzy razy większym niż Polska i Kuba razem wzięte. Była to wojna z Somalią, ciężka, okrutna jak każda. To czyta się jakby na zapleczu świata i świat się nią niezbyt interesował. Kiedy Somalia napadła na uwolnioną od cesarza Hajle Sellasje Etiopie, i zajęła trzecią część jej terytorium, Kuba wysłała tam z odsieczą swoich ochotników. I Mario pojechał. Na koniec dowodził kompanią czołgów, bo technicznie sprawniejsi Kubańczyści bili się przeważnie w czołgach, piechotę stanowili Etiopczycy. Książka Mario o Etiopii zaczyna się w momencie, w którym kończy się „Cesarz” Kapuścińskiego. Gdzie Krym, gdzie Rzym, pisarz polski z pisarzem kubańskim spotkali się w Etiopii, do której i z Polski, i z Kuby kilkanaście godzin lotu samolotem.

Na pożegnanie Mario dał mi fotografię Che Guevary, który ciągle jest jego wzorem i duchowym przewodnikiem. Filmu, w którym pokazano skrwawione zwłoki tego męczennika, Mario nie może zapomnieć. Z pewnością pojechałby na jego grób, ale nikt nie wie, gdzie ukryto zwłoki „Che”. Mario poznał córkę Guevary, niedaleko Holguin pracowała jako lekarka, później przeniosła się do Hawany. Chciał przeprowadzić z nią wywiad dla telewizji, ale kobieta ta, jak powiedziała, nie chce obcinać kuponów od zasług i sławy swojego ojca, a sama, tak uważa, niczego wielkiego nie uczyniła, by udzielać wywiadów.

Pedro Ortiz Dominguez jest niewysoki, pulchny, ledwo mieści się w spodniach i koszuli. Po prostu zapracowany Mario. Pracuje w miejscowym dzienniku „Ahorra”, pisze reportaże, opowiadania, eseje. Podarował mi niewielką książeczkę, wydaną w Holguin, złożoną z trzech krótkich opowiadań. Jej tytuł „La hora tercia”. Akcja toczy się w prowincji Oriente, którą Pedro najlepiej zna i rozumie. W Holguin zresztą się urodził. Przodkowie Pedro pochodzili z Angolii, on jako dziennikarz był tam niedawno. Pisał reportaże z tamtejszej wojny, która na szczęście zakończyła się, przynajmniej przy dyplomatycznych stołach, bo jej przerażające echa blaskają się będą po tym pięknym, biednym i pełnym bogactw kraju przez dziesięciolecia. I Pedro dotarł do plemienia swych przodków. — I co? — To plemię się kończy. Zmarł jego król a nowego dotąd nie wybrali. Pedro nie zgłosił swojej kandydatury do tronu króla plemienia swoich przodków i powrócił do Holguin z pewnością bogatszy o metafizyczne doznania. Żadna z rzek na świecie nie powróciła dotąd do swego źródła. I wszystko wskazuje na to, że nigdy nie powróci.

Z Pedro pojechalimy do Gibary i nad Zatokę Bariaty. Nad Atlantyk. Na polnych drogach spotykaliśmy jeźdźców na niewysokich, szybkich, wytrzymałych koniach. W powietrzu krążyły wielkie jastrzębie. Nad domkami o kształcie i wielkości naszych ogródkowych altanek telewizyjne anteny. Całe hektary bujnej trzciny cukrowej, kukurydzy i fasoli. Palmowe gaje. I Gibara, stara jak Hawana, a może starsza, gdzie zatrzymał się czas. Gęsta, niewysoka zabudowa, prosto z ulicy wchodzi się do izby. Domy bez sieni. Nad oknami i drzwiami łuki z różnokolorowego szkła. Oglądamy poddany konserwacji budynek teatru z końca XIX w., pałacyk hiszpańskiego gubernatora, w którym w 1898 r. przejęciowie kwatrowało dowództwo jednej z armii powstańczych, tawernę, gdzie stojące kilkunastu mężczyzn pije wódkę, cisza, spokój, tylko niedzielny najazd paru samochodów szpeci tą urokliwą, architektoniczną starość, którą konserwatorzy z Włoch ratują przed rozpadem. Jeszcze rzut oka ze wzgórze na dachy i drzewa Gibary schodzącej na brzeg spokojnego, jakby się chciał dostroić do patny tego miasteczka. Atlantyku i dalej, już nad Zatokę Bariaty, gdzie przed pół tysiącem lat zaumowały karawele najślawniejszego z admirałów.

JANUSZ KONIUSZ

Ona, drobna, delikatna brunetka, proste włosy związane z tyłu, okulary.

On — wysoki, postawny szatyn, wyraziste zarysowane dolna szczęka, muskularny.

Ona: — Pokochałam go prawdziwą, głęboką miłością. Najpiękniejsze wiersze do niego pisałam.

On: — Wierzyłem, że nareszcie ułożę sobie życie po tamtym nieszczęsnym, studenckim małżeństwie.

Minęły zaledwie dwa lata. Teraz w sądzie toczą się dwie ich sprawy: kar na i rozwodowa.

Mirka jest rzeczowa i spokojna. Pamięta wszystko, opisuje zdarzenia podając najdrobniejsze szczegóły. Roman się denerwuje, ucieka do spraw pobocznych, czuje się pokrzywdzony.

Ona nigdy nie miała dobrego zdrowia. Ciągłe bóle kregostupa, niesprawność jednej nerkę, dolegliwości kobiece, a to chyba jeszcze nie wszystkie jej choroby. On wiedział o tym, był bardzo opiekuńczy, pomocny w każdej chwili. Tyle, że te chwile nie były ta-

Bardzo ją to zabolalo. Minęły dwa tygodnie. Wydawało się, że wszystko między nimi pomyślnie się układa.

Jechała tramwajem, gdy zobaczyła swojego męża, który trzymając za rękę ładną blondynkę, podbiegał do przystanku. Wsiadł do drugiego wagonu. Znowu poczuła się sparaliżowana. Tej dziewczyny nie znała. Dotąd nie podejrzewała męża o zdradę, ale tam, nad morzem Jolka, tu — blondynka trzymała na za rękę...

W domu kolejna oszałamiająca rozmowa. On tłumaczył, że to tylko znajoma, której pomagał podbiec do tramwaju. Ona była uparta. Jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje. Musi to sprawdzić. Podał. Na imię miała Lidia.

Mirka zadzwoniła do Lidki. Poprosiła o spotkanie. Umówiły się w pobliżu mieszkania Lidki. Tymczasem Mirka nie poszła na umówione miejsce, a do domu, w którym Lidka wynajmowała pokój sublokatorski. Gospodyni przyjechała ją zyczliwie. Była szczerze zdziwiona, że ten pan, który Lidkę od pewnego czasu często odwiedza, jest mężem innej kobiety. A robił takie do bre wrażeń...

przestępstwa z art. 184 par. 1 kodeksu karnego (...) i braku interesu społecznego do ich objęcia ściganiem z urzędu”. Uznał, że nie było znęcania się, gdyż dwie awantury, w tym tylko jedna ostra, nie są jeszcze znęcaniem się, a Mirka może dochodzić swoich praw z oskarżenia prywatnego.

Mirkę bardzo dotknęła ta decyzja. Zwłaszcza określenie „brak interesu społecznego”. Gdy mąż pobije żonę, czy społeczeństwo nie powinno się obu rzyć i potępić go, nawet gdyby to zrobił tylko raz? Złożyła odwołanie. Prokurator wojewódzki je uwzględnił. W rezultacie tego prokurator rejonowy wniosł sprawę do sądu.

Roman zamknął się w sobie. Sprawę lekceważył, powtarzał wszystkim, że sędzia będzie rozsądny i sprawę umorzy. Mirka słyszała, jak mówił, iż to załatwi. Przed wejściem na salę rozpraw uklonił się pani ławnik.

Mirka prosiła o prawo występowania jako oskarżyciel posiłkowy. Ale nie mogła wytrzymać, gdy dziewczyna z nad morza inaczej zapamiętały fakty niż ona. I sędzia wyprosił ją z sali. Od czuła, że jest przeciwko niej.

Na to nie ma paragrafu

Krystyna Kamińska

kie częste. Po zawarciu małżeństwa nie mieli jeszcze własnego mieszkania, ale lada tydzień spodziewali się kluczy, więc postanowili że nie będą szukać zastępczego. Na razie pozostanie tak jak jest: ona u swoich rodziców, on u swoich. Tygodnie oczekiwali przedłużyły się aż do roku. Gdy dostali własne mieszkanie, Roman od razu zdecydował, że mniejszy pokój ona urządzi dla siebie, a on zajmie większy z balkonem. Oczywiście nikt nikomu nie zabrania wchodzić do drugiego pokoju, ale lepiej, żeby każdy miał poczucie własności. Zabrał się natychmiast do wykańczania przedpokoju i kuchni, położył boazerię. Powtarzał Mirce, że jeszcze za wcześnie na jej przeniesienie się, że lada dzień ich dom będzie gotów. I Mirka tak naprawdę nie wiedziała, gdzie mieszka: jeszcze u rodziców, czy nareszcie we własnym domu razem z mężem.

W czerwcu miała skierowanie do sanatorium. Roman ją odwoził, obiecał odwiedzać i pisać. Odwiedzin nie było, ale na dzień przed zakończeniem turnusu przyjechał. Był jakiś inny. Zimny, daleki. Mirka cieszyła się, że nareszcie wrócił do swojego domu, że będzie gotować i sprzątać u siebie. Tylko teraz ich rozmowy jakoś się nie kleiły, a na jej życiowe gesty, uśmiechy i pocałunki odpowiadał chłodem.

Było lato. Z jego zakładu organizowano wycieczki na kilka dni nad morze. Bardzo liczna, że ta wspólna eskapada pozwoli im odnieść dawną bliskość. A on z niechęcią siadał obok niej w autokarze, obojętnie rozmawiał z koleżankami. Mirka miała wrażenie, że jej się wstydzi.

Naprzeciw ich namiotu „rozbiły się” siostra Romka i jej koleżanka Jolka. Mirka znów czuła, że jej mąż bardziej zajmuje się tamtymi, niż nią. Wcześniej poszli brzegiem morza na spacer. Roman wiał sweter Mirki, ale razem z Jolką wystrorował się do przodu. Zrobiło się zimno, lunął deszcz. Mirka zmoкла solidnie. Następne dni zamiast na plażę przeleżała w namiocie. Przebiegła się, miała gorączkę. A Roman wypo-czywał. Z siostrą i Jolką spędzał cały czas, wieczorem chodzili razem potan-czyć.

Trzeciego dnia Mirka nie wytrzymała. W nocy, po powrocie, powiedziała Romkowi parę ostrych słów. Bo naprawdę nie miała siły zrobić sobie herbaty, a Roman nie pomyślał, o kolacji dla niej. Od słów doszło do rękoczynów. Kto kogo pierwszy uderzył? Chyba ona. Mówi, że nieumyślnie. Ale gdy on chwycił ją za rękę, to sińce zostały znaczne. Mirka głęboko odczuła swoją krzywdę, ale później, w sądzie dziewczyna zeznawała, że to ona wszczęła awanturę i że ona była winna.

Znad morza wracała z gorączką, obojętnymi migdałami, rozbitą wargą, podbitym policzkiem i bolesnie wyłamanym paznokciem. A Roman zdecydował, że lepiej zaopiekuje się nią mama i znów odwoził pod stary adres.

Następnego dnia Mirka poszła do lekarza, by spaść obdukcję. Był to pierwszy przypadek użycia siły w rodzinnych potyczkach i pierwsza jej obdukcja. Schowała ją do portfela.

Gdy w kilka dni potem przyszła do domu, zapytała Romana:

— Czy spróbujemy jeszcze raz?

— Nie wiem. To będzie trudna — odpowiedział.

Po paru minutach przyszła Lidka. Uśmiechnięta, zwiędła. Nie tłumaczyła się, nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Pokazała kartkę, którą do stała od Romka z tamtego pobytu nad morzem. Mirka w skupieniu czytała. Treść w zasadzie obojętna: „Sc-deczne pozdrowienia z nad morskiego brzegu przesyła...” Tylko na zakończenie to je dno, okrutne słowo: „Całuję”.

Wyszła zalamana.

— Musiałam tam pójść. Musiałam wiedzieć, jak jest naprawdę. Teraz wiem, że w czasie mojego pobytu w sanatorium poznałam się i zbliżyłam. To było bolesne dla mnie cięcie, ale konieczne. Dłużej nie mogłam żyć w nie-pewności.

Tego dnia nie pojechała do domu, lecz do matki. Była kompletnie zalamana. Wiedziała, że jej szczęście, jej małżeństwo minęło bezpowrotnie.

Rodzice podjęli się mediacji. Radzi-li, by jeszcze niczego nie przekreślać, by poczekać, bo do życia potrzebne są poczynienia. Zdecydowała, że jeszcze raz spróbuje złożyć swojego męża i jeśli nie wybra-czy do końca, to choć zaciągnie zasłonę na dwa trudne miesiące.

Był dokładnie 5 września. Zupełnie zapomniiała, że to dzień urodzin Romka. Naprawdę zapomniiała. Zresztą on też o jej urodzinach nigdy nie pamiętał. Nie było jej tylko jeden dzień, a w domu zastała straszny obłęg. Naj-widoczniej byli jacyś goście, jakieś u-bacja. Roman nigdy nie miał skłonnoś-ci do nadużywania alkoholu, dlatego ten widok bardzo ją zaskoczył. On le-żał na tapczanie. Patrzył w sufit.

Powiedziała, co myśli na ten temat. Zaczęło się. Najpierw poryczyła na sie-wa, potem uderzenia, użyczenia, kępa-nia i krew. Dużo tej krwi było. Jej żółta bluzka i różowe spodnie nie na-dawały się już do użytku. Krew na ścianie, krew na podłodze. Był taki moment, w którym Roman chwycił jej drobne ręce, złączył z tyłu i chciał związać kablem.

Przyszli wreszcie moment opami-ntania. Ona głośno płakała. Bolało ją wszystko, głowa, ręce, żołądek, a prze-de wszystkim dusza. On wybiegł z do-mu. Jeszcze na schodach krzyknęła, że wpuści go tylko z milicją. Zamknęła drzwi na klucz.

Wrócił z jej matką. Była przerażona. Mirka uparła się, żeby powiadomić mi-licję. W końcu Roman przyjechał w towarzysztwie stróża porządku publicz-nego. Efekty bójk były takie, że posta-nowiono spisać protokół na posterun-ku.

Mirka już nie wróciła do domu, prze-niosła się do matki. Następnego dnia poszła do lekarza. Ten dokonał obdukc-ji obrażeń, ale nie widział potrzeby wystawienia zwolnienia lekarskiego. Uznał, że na wyliczenie obrażeń ciała wystarczy wolna sobota i niedziela. Na-rany duszy lekarstwa nie miał.

Ale Mirkę coraz bardziej bolała ręk-a. W poniedziałek znowu poszła do le-karza. Stwierdził uszkodzenie więz-ozrostu barkowo - obojętynowego, na-każal usztywnienie barku przez założe-nie gipsu i dał 40 dni zwolnienia.

W przypadku uszkodzenia ciała, któ-rego leczenie wymaga więcej niż 7 dni zwolnienia z pracy, sprawą z urzędu zajmuje się prokurator.

Prokurator zapoznał się z dokumen-tacją i sprawę umorzył „wobec braku dostatecznych dowodów na zaistnienie

Sąd uznał, że „małżonkowie różnią się między sobą charakterami w spo-sób znaczny, są nastawieni wobec sie-bie wrogo, ale większą agresywnością i pobudliwością cechuje się postępowe-nie Mirosławy (...)”. Analizując awan-turę nad morzem „sąd dał wiarę me-żowi, a nie żonie”. W opisie zdarzeń podczas awantury w domu sąd także przychylił się do interpretacji Romana. W efekcie sąd odstąpił od wymierza-nia kary za bójkę nad morzem, a po-tyczkę w domu zakwalifikował do art. 157 par. 3 kodeksu karnego, czyli — uszkodzenie ciała w sposób nieumyślny i postanowił „postępowanie karne w-runkowo umorzyć i ustalić czas prób-ny na okres 1 roku”. Sąd uznał ponad-to, iż zdarzenia między małżonkami sta-nowią ze społecznego punktu widzenia „mniejszy niż znaczny stopień społecz-nego niebezpieczeństwa czynu”.

Mirka jest zrozpaczona:

— Tyle krzywdy mi zadał, tyle przez niego przecierpiałam. Znacznie pogorszył się stan mojego zdrowia, a bark boli mnie stale. Czy naprawdę sąd powinien patrzeć przez palce na takie poważne pobicie tylko dlatego, że zdarzyło się to raz, a nie sto razy! I jeszcze sąd argumentuje, że nikłym niebezpieczeństwem społecznym! Prze-cię w ten sposób zetrwała się na wszystkie domowe awantury, a męzo-wie poczuć się bezkarni.

Roman też jest głęboko rozczarowany:

— W czasie naszego małżeństwa ni-gdy pierwszy jej nie wyzywałem ani nigdy pierwszy nie podniosłem na nią ręki. Zawsze byłem trzeźwy. Powie-działem teściom, żeby swoją córeczkę przestrzegali, bo kiedyś nie wytrzymam i jej dolożę. Ani w dzień, ani w nocy pożytku z niej nie ma. Teraz wniosła sprawę rozwodową. Zgadza się na roz-wód z pocałowaniem ręki, ale bez orze-kania o winie lub z jej winy. Jej bar-dzo zależy na wygraniu sprawy kar-nej, bo wówczas udowodni moją winę w procesie rozwodowym. A jeśli roz-wód będzie z mojej winy, to jestem przekonany, że natychmiast zażąda od mnie alimentów, bo przecież nie-będzie mogła pracować z powodu róż-nych chorób. Już ją znam. Mnie jest też ciężko. Drugie małżeństwo i znowu bez przyszłości. Czy wszystkie kobiety są takie podle?

Prokurator zapowiada rewizję wyro-ku:

— Wniozę rewizję, bo muszę bronić wszystkich poszkodowanych, którzy na skutek pobicia chorują dłużej niż 7 dni. Ale jestem przekonany, że pani Mirka bardziej niż na obolałe ciało cho-ruje na obolałą duszę. Ona go kocha-la, naprawdę kochała, choć pojmowała tę miłość bardzo swoiście. Dobrze było wtedy, gdy on ją na rękach nosił. Po-tem już gorzej. A jemu potrzebny był ktoś bardziej oddany, ofiarny. Szuka-wieć dobrych słów, może nie tylko u innych kobiet. Tu motorem działały się zranione ambicje, zawiedziono-uczu-cia. A Mirka koniecznie chce znaleźć paragraf w kodeksie, który zrekom-pensowałby te duchowe straty. Jedna-kże kodeks tym się nie zajmuje. Jak to wy-tłumaczyć ludziom?

(Imiona bohaterów zmienione).

Po tamtym ostatnim spotkaniu z Olgą coś we mnie jakby pękło. Wszystkie złudzenia i nadzieje, którymi się mieszałam przy całej udzie, jednak wciąż karmiłam, przysyłałam i tak inni zaczęli pić albo się narkotyzować, zagłuszał się pracą. Od świtu do nocy. Tak minął rok. Wtedy znowu o niej usłyszałam, od naszej niedawno przyjaciółki, którą regularnie odwiedzałam. Miesiąc po naszym spotkaniu w Bijenkorfie odwiedziła ją, bo był jej potrzebny adres lekarza, który mógłby jej pomóc. Zaszła w ciążę, i wtenczas jej drugie małżeństwo rozpadło się w oczach. Nie mogła odtąd znieść obecności swego męża. Na noc zamykała drzwi do sypialni, a on szedł topić smutek małżeńskiego fiaska za bufetem. Co noc wracał pijany i nie docierając do sypialni padał jak kłoda na sofę. Ale kiedy zaczął się robić agresywny i któregoś nocy roztrząsał na kawałki wszystkie meble, wybił drzwi do sypialni i chuchając jej smrodliwym piwnym oddechem w twarz, próbował zgwałcić, znowu uciekła z walizką ubrań do matki. Ale ponieważ tamten doktor z powodu skrobania miał już styczność z wykładem sprawiedliwości, dała sobie zepsuć ciążę mydlinami jakiejś babce. Została jej po tym para jajników w stanie zapalnym i jeden trzeba było po jakimś czasie wyjąć, bo aż jej śmierdzieć z p... No a teraz zbierała się znowu do zamążpójścia za amerykańskiego inżyniera, zatrudnionego w towarzystwie naftowym. Ponieważ ta przyjaciółka powiedziała mi, że zaraz po ślubie mają zamiar wyjechać do Ameryki i mogę już jej nigdy nie zobaczyć, napisałam do niej list. Po paru dniach zadzwoniła z Beverwijk, gdzie razem z przyszłym mężem i paroma amerykańskimi małżeństwami, które pracowały w tym samym przedsiębiorstwie, miała wynajęty dom. Umówiliśmy się na drugi dzień i na wiele godzin przed jej przyjazdem miało się tam i z powrotem po atelier jak tygrys w klatce przed porą karmienia. Próbowałam zobaczyć wszystko jej oczami. Czy to albo tamto jest tak samo, jak wtenczas, kiedy jeszcze była ze mną. I nagle się zjawiała. I zaraz zaczęła się tak samo rozglądać jak przedtem. Zastanawiałem się, co czuje i myśli. Czy odczuła brak kaktusów i wszystkich gipsowych portretów, do których tyle godzin pozowała, słuchając płyt Sonny Rollinsa albo Milesa Davisa. Przy rzeźbie z kotem długo stała. Potem zapytała, gdzie jest kot. Spał sobie po prostu na krześle. Nie zareagował na jej głos. To było zbyt dawno. Nawet do niego nie podeszła, spojrzała tylko trochę nieśmiało w jego stronę. Może się nawet ucieszyła, że się nie obudził. Byłby to rzeczywiście dziwny widok, gdyby go wzięła na ręce. Usiadła a ja postawiłam butelkę koniaku i kieliszki na stole. Kiedy weszła, przerażeniem się tak schudła i tak źle i niespokojnie wyglądała. Włosy miała znowu rude i takie krótkie jak Jean Seberg. Powiedziała, że musiała tak ściąć, żeby pozbyć się tego blondu. Na początku wyglądała jak cieniony pudel. Ale nie było innej rady. Zrobiła to wtenczas dla poprzedniego męża. Razem z nim chciała to wyjąć ze swojego życia. Nalala sobie kieliszek i powiedziała, że wszystko tu jest jak dawniej. Z wyjątkiem tych obrazów. Nie odczuła braku kaktusów. Ani swoich portretów. Może nawet już o wszystkim zapomniała. Siedząc, tylko jej się trochę przyglądałam. Zrobiła się przez to nerwowa i niepewna, zapytała, czy uważam, że się postarzała. Zaśmiałem się serdecznie i powiedziałem, że jest starsza, ale nie stara. Ale naprawdę chciało mi się płakać po tamtej mojej pięknej najmlodszej. Wtedy przyszła zapłakana koniakami historia jej drugiego małżeństwa. Ze przez wszystkie tamte miesiące żyła w śmiertelnym strachu przed zajściem w ciążę, bo on nigdy nie chciał uważać. Że był grubiański i głupi, że nie w tym wszystkim nie było cennego. Ze przy nim zdawało jej się, iż mieszka w wielkim kojcu dla królików z jej własnymi boberkami. Że już nawet nie pamięta, jak wyglądał na twarzy. Że go doszczętnie zapomniała. Zapytałam, czy o mnie tak samo myśli, ale powiedziała, że gdyby tak było, nie siedziałaby teraz tutaj. Potem wstała i podeszła do pnia drzewa, który wciąż stał na środku atelier i zapytała, czy pamiętam jeszcze, że on pochodził z ich ogrodu. Powiedziała, że jej matka kazała drzewo ściąć już w miesiąc po śmierci ojca, bo dom był przez nie taki ponury. Że jej ojciec nigdy na to nie chciał przystać. Jeszcze i to pamiętała, że ledwie jakieśmy je do nas wstawili, z pnia powychodziły tu i ówdzie małe gałęzie z delikatnymi zielonymi listkami. Jakby chciał wycisnąć z siebie ostatnią resztkę życia, jaka w nim tkwiła. Ale usłyszy w ciągu paru tygodni, bo już nie mógł ciągnąć pokarmu i wody z ziemi. I pamiętała jeszcze, że tuż po ustawieniu pnia wyszła z niego niesamowita kolumna czerwonych mrówek, która przeszła na wskroś atelier do szpary w podłodze, w której zniknęły. Trwało to cały dzień, zanim się wszystkie wyniosły, a ona nie mogła pospytywać ich trucizną, bo zakazałam. Powiedziała, że mrówki mają kolor jej włosów i że dlatego nie wolno. Ale wtedy miałam zupełnie takie uczucie, jakby one poprzez ziemię poszły do jej ojca. Do ogrodu, gdzie było ich miejsce i gdzie zawsze żyły. Usiadła z powrotem i kiedy zapytała o zdjęcia z dawnych czasów, bo była ciekawa, jak wtedy wyglądała, postawiłam przed nią na stole całe pudełko. Najpierw patrzyła na nie chwilę nieporuszona z kieliszkiem w ręku. Potem wyciągnęła jedno po drugim, można by powiedzieć że ze wstrętem, i oglądała je długo i uważnie. Zdjęcia z początków, kiedy wyglądała bardzo nieskromnie. W różowym kapelusiku i z tymi wspaniałymi pełnymi wargami, nagimi ramionami pod bluzką w czarnobiałe paski, którą później spaliłam. Jak cyganichą w długiej nocnej koszuli w kwiaty, oparta o cętkowane szare płótno namiotu za wydmami, z tą dynamiką w biodrach i buźką nabrzmiałą od snu. I zastanawiałem się, czy myślała o tym, że tam pod tamtym brudnym płótnem spała z tą małą kaczuszką między swoimi ślicznymi cyckami i jak bardzo byliśmy szczęśliwi w tamtym wywypnowanym drewnianym łóżku. W stroju roboczym z chustką na głowie i upstrzona białymi plamkami, kiedy mi pomagała przy odlewaniu gipsu. Tańcząc w morzu w całej okazałości swoich pulchnych kształtów, kiedy za rozpryskującą się wodą widać było łódź rybacką. Z kotem na ręku, od małości do kocicy. Na balkonie przy obieraniu dyki. I później dumna przed półką z pełnymi słoiakami, kiedy cebulki były już zalane octem z ziarenkami czerwonego pieprzu tureckiego i liśćmi lawrowymi, które wyraźnie się odznaczały wśród jasnych kuleczek. Przytrzymywałam się w nią z natężeniem, kiedy tak z lotu ptaka przemysłowa nad rozsypaną tamigiłową naszego życia. Widziałem, że jej twarz próbuje pohamować emocje. Czasem powiedziała do siebie: „Wtedy miałam na sobie tę purpurową sukienkę”. „O, to przed krzakiem tarniny. Na rogu. Zbierałam ciarki z

z latarką elektryczną. Też już tego nie pamiętam”. Przy swoich aktach, po prostu robiła się zawstydzona. A przecież nie wiedziała jeszcze i tego, jak często przy nich walił konia, próbując jak szalony wygnać jej białe ciało z tego szarego obrazka. Powiedziałem, że tamto jedno było zrobione przed lustrem po tym, jak stojąc przede mną wymacała się paluszkami. Ze to jeszcze poznała po jej wydechnych wargach. Udała, że nie słyszy i oglądała dalej. Ale naraz powiedziała, że dostała kompleksu niższości z powodu figury. Że jej piersi nie są już te same co kiedyś, kiedy każdy mówił: „Olgę ma najpiękniejsze”. Ze na plaży nakłada na uda kremowe maseczki, żeby ukryć małe zylaki. Nigdy teraz się nie rozbiiera przy świetle dziennym i nosi zawsze długie rękawy, bo przestała jej się podobać pęgi na łokciach. Kiedy powiedziałem, że chciałbym jeszcze wszystkie z osobną pocałować, odparła, że wciąż widzę ją taką, jaka była wtedy. Że ją idealizuję, ale że już dawno nie jest idealną kobietą. Ze ten człowiek, z którym teraz ma się pobrać, kocha ją taką, jaka jest teraz. Nawet jeśli się upiśnie i źle licytuje przy brydżu, bo jej się wtenczas zdaje, że jest genialna w te klocci. Albo kiedy zupełnie inaczej zaczyna się czesać. Kiedy ją zapytałam, co to za mężczyzna, powiedziała, że uważałbym jego twarz za bardzo interesującą. Że jest strasznie brzydka. Nie ze względu na rysy, ale że ma opswatą twarz. Indianką. Podobną do Humphreya Bogarta, powiedziała. I nosi

RACHAŁUKUM

Jan Wolkers



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

ją na rękach, jakby napisała Courts Mahlerowa. Kiedy powiedziałem, że ja też to robiłem, odparła, że dobrze pamięta, ale zaraz popłynęła rzeka żarstów. Ze czuła się zamknięta i że przez te wszystkie lata ani razu nie była sama na miejscu. Że o wiele za często siedział z nią do łóżka. Że już się zaczynało, kiedy rano w kuchni nastawiała kawę. Wtedy myślała: Oho, już znowu jest. Obliczyła to, czasem siedem razy jednego dnia. To już nie było normalne. Miałem po prostu satyriasis. Kiedy zapytała, czy ciągle u mnie z tym tak samo, powiedziałem, że gdyby przy mnie została, to by tak było. Kiedy zapytałam, czy nie potrafi się śmiać z tamtych starych historii, powiedziała: „Nie, ja już się nie śmieję. Kiedy zaczynałam, myślałam: życie to bajka. Wyjdę za mąż, będę szczęśliwa. Ale jestem dużo mniej szczęśliwa, niż się spodziewałam”. Młode patrzyła dłuższy czas na zdjęcie z kaczką przylutym do policzka, które trzymała w ręku. Wyglądała na nim tak uroczą i szczęśliwą. Jak róża z wydmowej doliny. Zobaczyłem, że przelknęła ślinę i powiedziałem, żeby odłożyła na bok wszystkie zdjęcia, które chciałyby mieć. To zamówię dla niej odbitki. Ale pokręciła głową i odłożyła to zdjęcie do pudełka grzebiem na wierzch. Potem odsunęła je od siebie na środek stołu i wstała i powiedziała, że przyjdzie kiedyś coś wyszukać, ale teraz musi iść, bo ma jeszcze kupić butelkę konjaku na wieczór do kart. A za pół godziny zamykali sklepy. Obiecała, że przed wyjazdem do Ameryki jeszcze do mnie wpadnie. U drzwi naraz ją uściśnięłam i pocałowałam w oba policzki. Bo myślałam, że już nigdy jej nie zobaczę. Lży mało mi nie pociekiły po sobie. Ale jednak przyszła tydzień później. Z mężem, z którym się pobrała dwa dni przedtem. Rzeczywiście był podobny do Humphreya Bogarta i przekonałem się, że to, co o nim opowiadała, było prawdą. Że nosił ją na rękach. Patrzył tak na nią, jak ja patrzyłam przez te wszystkie lata. Znowu była czymś skarbem i mnie samego prawie to uszczęśliwiło. Ale on też się bał, że ją może stracić, tak jak ja kiedyś. Bo kiedy wstawała z niskiej kanapy, gdzie siedziała obok niego, bo chciała się do ubikacji, on nagle objął ją za nogi. Zrobił to zupełnie odruchowo, i roześmiał się trochę zakłopotany. Kiedy wróciła, zapytałam, czy jest teraz szczęśliwa, po tym trzecim zamążpójściu. Powiedziała, że oczywiście zwariowała na jego punkcie, ale w inny sposób, niżby tego chciała. Że nie umie jeszcze sobie odpowiedzieć na tyle py-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

tań. Jedynie wtedy, gdy szła na udry, wtenczas znala odpowiedź na każde pytanie. Ale to był kochany człowiek. Patrzyła na niego rozczulona, jak tam stał przed regalem oglądając uważnie murzyńskie rzeźby i powiedziała: „Mój ojciec zawsze powtarzał, że Amerykanie to niecywilizowany naród. Ale oni wszystko wiedzą o historii Ameryki, wszystko”. Pociął, że na niego patrzy i że o nim rozmawiamy. Odwrócił się i uśmiechnął do niej. Potem wskazał na rzeźby murzyńskie i powiedział: „Nice dolls”. Zauważyłem, że Olga się trochę zawstydzila, bo to niestety nie była najwłaściwsza nazwa dla tych rzeczy. Ale kiedy zacząłem z nim o nich mówić i też je nazywałem „dolls”, spojrzała na mnie z sympatią. Opowiadała, jak to jest trudno z językiem. Bo wprawdzie mówiła zwyczajnie dobrze po angielsku, ale kiedy chciała powiedzieć coś trudnego, albo od siebie wytłumaczyć, często myślała: „A, niech tam. To po prostu za dużo by ją kosztowało to trud”. Jakis czas temu, kiedy ktoś przy kartach niemiędrze zagrał, powiedziała: We are going to sew shoes for you. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. A ona do tej pory nie wiedziała, czy to

COUNTRY OF CALIFORNIA. Bez żadnego tekstu, tylko pozdrowienia. Ale z Meksyku przysłała mi list. Dwa tygodnie po Wielkiejnocy. Napisała, że przypomniałem jej się wśród wiosek na dom kaktusów i mułów. Zobaczyła na czymś w rodzaju ostu trzmiela i motyla koło siebie i od razu stanął jej przed oczami album Verkadego Kwiaty i ich przyjaciół, który miałem. Pisała też, że jest tam obrzydliwy zwyczaj. W Wielką Sobotę palą wszędzie kukły Judasza, które przygotowują na długo przedtem. Przechodzili przez wieś, gdzie sterczały takie naturalnej wielkości i się paliły, a jej mąż powiedział, że to zupełnie jakby to był Ku-Klux-Klan. I że czasem w środku upalów tęskniła do Alkmaaru. Do zielonych łąk i kanałów. Potem kapnęła od czasu do czasu widokówka. Z Manzanillo. (Barwny targ rybny z olbrzymimi żółtymi wodnymi). Vera Cruz, Yucatan. (Świątynia jakiegoś ludojada, jak na niej napisała). I za każdym razem, kiedy znajdowałem w skrzynce taką jej kartkę, przez resztę dnia nie mogłem pracować z melancholią i poczucia bezradności. Może byłoby lepiej, gdyby wtenczas nie była mnie odwiedziła, i gdybym więcej o niej nie usłyszał. Bo tak to się zaczęło strasznie upodobać do tej trzeciorzędnej mądrości, którą tamte amerykańskie cipki przypięły do ściany frontowego pokoju: THERE IS NOTHING SADDER THAN ASSOCIATIONS HELD TOGETHER BY NOTHING BUT THE GLUE OF POSTAGE STAMPS. Wyglądało na to, że i moja daleka ukochana to wyczuła, bo naraz zamilkła na pół roku. Do Bożego Narodzenia tamtego roku. Wtedy znowu dostałem kartkę. Ale prawie z Antypodów. Z planem Zatoki Perskiej. Ponad bardzo niebieskim morzem wisiała wstążka, na której było napisane: GREETINGS FROM TRUCIAL STATES. Z lewej strony u dołu był Arab, przedstawiony na wielbłądzie, a z prawej oaza bogata w palmy. Pośrodku wzdłuż wybrzeża czerwone punkty, gdzie kraj był wysypany przez wieże wieńnicze jak komary. Na odwrocie zrobiła strzałkę w stronę purpurowego znaczka, na którym w zielonym owalu pisał się ten czy ów szejk i napisała: No a tu ten prawdziwy „Sheik of Araby”, o którym słuchałam u ciebie na płycie Benny Goodman na jak się tylko poznaliśmy. Dalej pisała jeszcze, że na początku bała się zakwieconych kobiet. Ze wielbłądy z rana i wieczorem chodzą koło domu zupełnie jak szczury i że byli na obszarze, który dopiero co opuściła szarańcza. Było zupełnie lyso i beznadziejnie i wszystko było lepkie i miało gorzką woń. A mężczyźni tak na nią patrzyli, że aż mąż jest zazdrosny. Na koniec skrobnęła, że niebawem, jak tylko trochę jej się te nowości opatrzą, napisze list. I faktycznie go dostałem. Zaraz po Nowym Roku. Na trzy stroniczki: Zima oznacza tu burze piaskowe i przebiegłych ludzi. Wczoraj spadło mniej więcej dziesięć kropel deszczu. Mieszkamy w centrum miasta naprzeciw meczetu w nowym bloku wśród samych arabskich slumsów. W tej chwili jest Ramadan, okres postu dla muzułmanów. Od wschodu do zachodu słońca nie jedzą ani nie piją i zabronione jest palenie. Nawet nam nie wolno jest jeść ani pić na ulicy lub w samochodzie. Jak to uważają to człowiek dostaje karę więzienia. O wpół do szóstej, kiedy zachodzi słońce, strzelają dwa razy z armaty na apertit i każdy wycezarowuje wtenczas jedzenie, a w meczecie zaczyna się śpiewy, dla mnie to jest zawođenje. Ze modlitwy ciągną się godzinami i brzmią strasznie niesłowne. Na początku trudno mi było to odróżnić od marczących się kotów, które się kręcą koło domu. O trzeciej w nocy siedzę na łóżku zdrewniała ze strachu. Wtenczas sygnalizują wszystkim, że się jeszcze po raz ostatni mogą napchać do pełna. Odbywa się to tak, że bębnią w dwa bębny, ale to tak, że Hitler bu się nastraszyl. Chodzą po wszystkich ulicach i człowiek w każdej chwili spodziewa się swojego zabójcy. Ten post trwa cztery tygodnie. Napisała jeszcze, że tam polują na synagralice. Dokładnie takie same jak te, któreśmy kiedyś mieli. Na początku bardzo to ją gniewało. Ale potem je jadła, z dużą ilością czosnku i cytryny. Zdało się, że chciała mi tym dokuczyć, bo napisała, że jadła też barani mózg, a nawet, nie wiedząc o tym, oczy owcy. Sprawilo jej pewną trudność przyznanie, że smak jest doskonały. I na tym zakończyła list. Największy przysmak została na koniec. Bo już nie dostałem żadnego listu ani kartki z GREETINGS FROM TRUCIAL STATES!

FUCK ME I'M DESPERATE

Osiem miesięcy po tamtych baraniach mózgach i owczych oczach nagle u mnie się zjawiała. Już była na korytarzu domu i zastukała do moich drzwi. Kiedy otworzyłem, myślałem, że osunie mi się w ramiona, tak chwiejnie stała na nogach. Okulary słoneczne miała odsunięte na włosy, tak że była podobna do ryby czworooka. Była trupio biała i na prawej szczecie miała świeżą bliznę. Ale kiedy ją chciałem wprowadzić do pokoju zbyt wyraźnie jak półnawalidek, żywo mnie odepchnęła i powiedziała, że nie jej nie jest. Że tylko nie może przywyknąć do tego cholernego tutejszego klimatu. Myślałem, że zrobiła sobie urlop w Holandii, ale kiedy już siedziała przy kawie, powiedziała, że matka przysłała ją samolotem. Wysłała telegram i kwoka natychmiast przyleciała, żeby zabrać piskle do gniazda. Rzuciłem okiem na te blizny ze świeżą różową skórą i brązowymi plamkami. Ale nie pytałem o to. Sama powie, tak też zrobiła. Już podczas podróży po Ameryce pojawiły się trudności. Drugi jajnik też ciągle był w stanie zapalnym i wszystko tam w środku się pokiełbało. Co czternaście dni miała pięciodniową miesiączkę. A kiedy chciał z nią iść do łóżka, strasznie ją bolało. Na początku był bardzo wyrozumiały i miły. Ale kiedy już znaleźli się nad Zatoką Perską w tym bloku pośród slumsów, wtenczas się to zmieniło. Powiedziała, że to z powodu nudów i klimatu, od którego każdy dostawał jakiegoś tropikalnego krećka. Kiedy wracał z obiadowego dozoru wież wieńniczych i znowu nie było można, szedł się upić w Klubie Amerykańskim.

CDN

(Fragmenty powieści wybitnego pisarza holenderskiego w przekładzie ANDRZEJA DĄBROWKI, przygotowanej do druku przez Państwowe Wydawnictwo „Iskry”)

Dzieci KOSMOSU

TO TYLKO SPORT

Pytania bez odpowiedzi?

Gdy komuś dobrze się wiedzie, mówimy, że „urodził się pod szczęśliwą gwiazdą” lub, że „świeci mu dobra gwiazda”. O kimś innym, że jest „typem spod ciemnej gwiazdy”. „O gwiazdę przewodnią nie zginę w mgłę” — brzmie refren francuskiej piosenki, śpiewanej przez Mirelle Mathieu. Czyżby były gwiazdy jasne i dobre oraz ciemne i złe? Oczywiście, że nie. Odbija się w tym jedynie prawda, stwierdzona przez astrologów już przed wiekami, o wpływie ciał kosmicznych na charakter i życie człowieka.



MĘŻCZYŹNI SPOD ZNAKU LWA

Urodzili się między 23 lipca, a 23 sierpnia, w pełni lata, gdy rozgrzana słońcem ziemia wydaje z siebie plony najłagodniejsze i najsońszejsze. Twoim znakiem Zodiaku jest Lew, symbolizujący królewską władzę, siłę i dumę. Planeta, której podlegasz, także jest królewska: to Słońce, wokół którego wszystkie ciała niebieskie naszego układu pozostają w ciągłym ruchu. Znak Lwa, podobnie jak znak Strzelca i Barana, należy do Trygonu Ognistego, stąd Twoim żywiołem jest Ogień. W sumie więc, Twoje cechy charakteru i całą linię życia, już od momentu, gdy przyszedłeś na świat, wyznacza Ci: Lew, Słońce i Ogień. Spróbuj spojrzeć na siebie i ocenić swoje postępowanie oraz współżycie z ludźmi.

Jak przystało na Lwa jesteś silny i odważny. Cechują Cię ście królewskie przymioty: godność, nobilitacja. Przez całe życie je pielęgnujesz, a ze szczególną starannością zabiegasz o nie będąc w wieku dojrzalym. Nie też dziwnego, że zmierzasz czasem do zarozumiałości i pychy.

Chętnie otaczasz się ludźmi, w stosunku do których możesz sobie pozwolić na utrzymanie stosunku protekcjonalnego. Uwielbiasz protekcjonalność. Lubisz okazywać się szlachetny.

Jesteś otwarty na wszystko, co dzieje się wokół, zarówno w sprawach ogólnych, jak też jednostkowych. Na zewnątrz wyglądasz tak, jak gdybyś był zachwycony wszystkim nowym, co w ogólnym rozumieniu jest dobre i pozytywne. Ale nie zawsze tak jest. W głębi duszy jesteś nietolerancyjny dla wszelkich nowych prądów i nowinek, a także ludzkich zachowań, których wcześniej nie poparłeś, nie zaakceptowałeś bądź nie zostajesz o nich uprzedzony.

W takich sytuacjach niektóre Lwy reagują od razu, spontanicznie, ale też nie dyplomatycznie. Daje o sobie znać ich autokratyzm (to także cecha królów). Trzeba przynajmniej, że Lew nadaje się na przywódcę, szefa, naczelnika.

Twoja ambicja (połączona z próżnością) każe Ci iść w górę, ku karierze zawodowej, lub kierować wysiłki w celu powiększenia dóbr materialnych. Nie lubisz rezygnować i zazwyczaj nie zawracasz w połowie drogi. Ale drogę tę chcesz przebywać szybko, jednym susem! Więcej opanowania, Lwie, nie wszystko w życiu zdobywa się od razu — i siłą.

Na przykład kobiety. Czy znasz powiedzenie, że „w miłości nie ma siły”? Nie każdej dziewczynie podoba się siłacz w gorącej wodzie kąpany i nie każda marzy o znalezieniu się na szczycie góry, złożonej z zaszczepionych meź lub jego pieniędzy.

Lew, próżny, zarozumiały i egocentryczny, potrafi być jednostką, na wskroś szlachetną i twórczą. Umie być też jowialny i towarzyski, szarmancki dla dam oraz przyjazny i koleżeński dla panów.

Nieszczęściem Twoim, Lwie, bywa brak wytrwałości i opanowania. Jesteś silny, ale szybko się męczysz. Poza tym wszystko chciałbyś mieć od razu. Tymczasem, lepiej, czasem iść przez życie tysiącami małymi krokami, niż kilkoma wielkimi skokami.

Słońce, ta najwspanialsza z planet, świeciła wszystkie inne planety i jest źródłem energii w całym naszym układzie kosmicznym. Nam, mieszkańcom Ziemi, wyznacza rytm życia dzieląc czas na przemiany między dniem i nocą. W ten sposób wpływa decydująco na działania człowieka i egzystencję całej przyrody. Ze wschodem słońca budzimy się i rozpoczynamy pracę. Z nastaniem zmierzchu myślimy o spoczynku, wreszcie zapadamy w sen — by rano obudzić się na nowo.

Słońce jest więc w Kosmosie prawdziwą potęgą. Pamiętaj, że na Ciebie wpływa ono szczególnie. Wzmacnia w Tobie potrzebę władzy oraz ufnosć we własne siły. Obdarza Cię poczuciem niezależności, także szczerą rością, szczodrością oraz siłą woli i wielkim umiłowaniem wolności.

Jednakże działa na Ciebie również destrukcyjnie. Wzmacniając wiarę w siebie i poczucie własnej wartości, prowadzi Cię do pychy i niesympatycznego dla otoczenia egoizmu. Lew w swym dążeniu do wyżyn najczęściej osiąga pożądane pozycje. Ale zmierzając do nich za wszelką cenę, pomija niekiedy podstawowe warunki. Toteż wśród tych wspaniałych panów — Lwów, śledzących czasem bardzo wysoko, spotkać można niekompetentnych zarozumiałców, nadbrających pozę i minę.

Lwy bywają jowialne, otwarte, towarzyskie, pogodne, przyjazne. Ale wystarczy mały powód, by pokazały kły i pazury. Taki jesteś, przynajmniej.

Omawiając znaczenie znaku Lwa dla pań, wspominałam o różnych oznaczeniach, charakteryzujących znaki ogniste: czerwonym dla Barana, błękitnym dla Strzelca i złocistym dla Lwa. Baranowi Ogień daje emocje, Strzelcowi tworzy idee, zaś Lwa zachęca do... lenistwa. Tak! Te duże, silne, aktywne i agresywne Lwy tylko czekają na okazję, by się położyć do góry brzuchem!

Jaki jesteś w miłości? Zdobywcy, bezkompromisowy. Kierujesz się wyłącznie własnymi odczuciami i chęciami, nie biorąc pod uwagę, że druga osoba też ma jakieś odczucia i pragnienia. Przy wyborze dziewczyny, żony, przyjaciółki, unikaj Lwie! Ludzie odmiennej płci urodzeni pod znakiem Lwa (także Strzelca i Barana) rzadko tworzą duety zgodne. Chodzi tu o wspólną przynależność do Trygonu Ognia. Dwa ostre, silne, czerwone płomienie, gdy połączą się w jeden duży, spalą w nim na popiół wszystkie nadzieje, myśli, uczucia i plany.

Korzystny natomiast będzie Twój związek z panią urodzoną pod jednym z znaków wodnych (Rak, Skorpion, Ryby) lub powietrznych (Waga, Wodnik, Bliźnięta). Gorzej, gdy zacho chasz się w pani urodzonej pod którymś z znaków ziemskich (Koziorożec, Panna, Byk). Impulsywny, ognisty Lew nie przystaje do praktycznych i uporządkowanych osób spod znaków ziemskich, po prostu ich nie rozumie.

Całkiem inaczej przedstawiają się jego kontakty z osobami urodzonymi pod znakiem powietrznymi i wodnymi. Wprawdzie powietrze i woda mogą ogień ugasić. Ale przy dobrych chęciach oraz miłości z obu stron, z takiego związku wynikają same pozytywne sprawy. Wystarczy uprzedzić sobie, że dzięki ogniewi woda osiąga stan wrzenia, skrapla się i paruje, a dzięki powietrzu płomień osiąga pożądany kształt i kierunek.

Może Cię to zainteresuje, że pod tym samym znakiem, co Ty, urodził się słynny hematolog, nieżyjący już prof. Julian Aleksandrowicz. Lwami są również aktor Mieczysław Voigt i obecny prezes Radia i Telewizji, były rzecznik prasowy Rządu, Jerzy Urban. Twoim szczęśliwym dniem jest niedziela.

W następnym numerze „Nadodrza” zajmujemy się znakiem Panny. Zapraszamy wszystkie panie urodzone w okresie od 24 sierpnia do 23 września.

EWA FOSS

Czasy teraz takie, że pytań jest bez liku. Także w sporcie. Na przykład czy sto pytań mniej kibice, jak to jest, że Gorzowskie w ostatnich latach stało się prawdziwą potęgą sportową (biorąc pod uwagę wielkość i możliwości województwa), wyraźnie dystansując Zielonogórkę, która posiada nie mniej szary potencjał? I rzeczywiście. Sprawa daje wiele do myślenia.

Rzecz jasna, odpowiedź nie jest prosta, biedzi się nad nią zapewne wiele tęszących głów. A w krótkim tekście można pokusić się jedynie o pobieżną refleksję. Ludziom, którzy siedzą wydarzenia na arenach sportowych, nie trzeba przypominać, że we wspomnianym pytaniu zawarte jest znaczne uproszczenie. Boć przecie i sport zielonogórski notuje znaczące osiągnięcia w paru dziedzinach. Jakby na sprawę jednak nie spojrzeć, funkcjonowanie kultury fizycznej w Gorzowskim ma o wiele więcej rozmachu i przynosi rezultaty o zdecydowanie większym zasięgu.

Red. Ryszard Rowiński, który na sport patrzy nieco inaczej, niż rozmarzony kibic, słusznie powiada, że kierownictwo sportu zielonogórskiego od wielu lat działa bez konkretnej koncepcji. Zastanawiam się, czy w ogóle z jakakolwiek koncepcją. Pewnie szefowie zielonogórskiej kultury fizycznej obruszają się, że jak to, przecież koncepcje mają. Tyko, że koncepcje, które leżą w szufladach i nie są wcielane w życie, koncepcjami po prostu nie są. Można odnieść wrażenie, iż w Zielonogórskim przespano kilka ważnych lat i jest teraz to, co jest. W tzw. między czasie wiele się zmieniło. Wykruszyli się niemal do końca społecznicy, którzy przez lata dźwigali sport na swoich barkach za Bóg zapłać, zmieniły się uwarunkowania społeczno-ekonomiczne dla kultury fizycznej, a i sam sport niewiele przypomina tamten spontaniczny i w pełni amatorski. Kto zatem za gapił się, ten pozostał w dołkach startowych. Teraz dogonić tych w przodzie wcale nie jest łatwo.

Bardzo rozsądne, by nie powiedzieć — realistyczne koncepcje przyjęto przed laty w Gorzowskim. Co najważniejsze, są one z podziwu godną konsekwencją realizowane, mimo że w

tym województwie trudności nie brakuje. Dziś, gdy ocena dorobku sportu gorzowskiego, odnoszącego sukcesy na różnych polach, jest tak wysoka, jeszcze wyraziście widać, że ludzie, zawiadujący kulturą fizyczną w tym regionie, wiedzą o co chodzi, że potrafili przewidywać na wiele lat do przodu. Autorów i realizatorów gorzowskiej koncepcji sportu trudno byłoby wymienić nawet na całej stronie gazety. Nie sposób jednak nie wspomnieć choćby o kilku. Dyrektorem Wydziału Kultury Fizycznej Urzędu Wojewódzkiego — Michał Leśniaku, prezesie Wojewódzkiej Federacji Sportu — Janie Znoju, czy prezesie jednego z największych klubów sportowych w Polsce, ZKS „Stilon” — Jerzym Pogorzelskim. Tacy ludzie są — jeśli można to tak określić — kółem zamachowym szerokich działań, w których uczestniczą setki oddanych działaczy, szkoleniowców i sportowców.

Pytanie o źródło osiągnięć gorzowskiego sportu wróciło kiedyś w rozmowie z prezesem Znojem. Prezes był ciekawy, czy koncepcje sprawdzają się w oczach postronnych obserwatorów, mniej z kolei interesowało, co trzeba robić, by takie rezultaty uzyskiwać. I kolejny raz wyszło na to, że konkretny plan działania należy rzetelnie i konsekwentnie realizować, nie oglądając się na przeszkody i trudności, z którymi zresztą w każdym czasie trzeba się liczyć.

Jeśliby szefowie zielonogórskiego sportu chcieli wiedzieć, jak to się robi, proponuję, by po prostu wybrali się do Gorzowa. Lepiej zacząć coś robić późno, niż wcale. Nie sądzę, żeby im gorzowscy koledzy czegośkolwiek odmówili. Z pewnością w Gorzowie ze swych doświadczeń nie czynią tajemnicy wojakowej. Powiem więcej. Jeśli w różnych dziedzinach pobrzmiwają jeszcze echa dawnych waśni zielonogórsko-gorzowskich, to wśród ludzi sportu obu województw panują naprawdę przyjazne stosunki.

Zdaje sobie sprawę, że w obecnych czasach zielonogórski sport z dnia na dzień nie wyniesie się na wyżyny. Zbliża się jednak chyba ostatni dwo-

nek. Potem może być za późno. Jeszcze raz powtórzę, że idzie tu o system funkcjonowania kultury fizycznej w Zielonogórskim w całości. Wielka chwala strzelcom „Gwardii”, pięcioboistom „Lumeli”, koszykarzom „Zastali”, a zwłaszcza „Palubazu” i przedstawicielom paru innych dyscyplin. Ich wspaniałe wyniki nie mogą jednak zamazywać obrazu.

Pojawiają się zatem kolejne pytania. Jak to się dzieje, że Zielonogórkę odnosi wielkie sukcesy w ogólnopolskich spartakiadach młodzieży, a potem talentów giną? Pół biedy, jeśli niektóre z nich trafiają do innych ośrodków w kraju, ale też — dlaczego? Czym wytłumaczyć fakt, że są sekcje i kluby, które chlubią się dużymi wynikami (np. zapasy we „Włókniarzu” Zaryczy kolarstwo w „Trasie” Zielona Góra), a borykają się z nieustannymi kłopotami sprzętowymi i finansowymi? Dlaczego tylu zdolnych trenerów i zawodników wciąż emigruje z zielonogórskiego? Czym wytłumaczyć to, że zamierzają lub podupadają jedne po drugich kluby i sekcje na terenie województwa, które były wylęgarnią talentów i notowały spore sukcesy (np. „Zew” Świebodzin — piłka ręczna, „Zawisza” Sulechów — siatkówka, „Olimpia” Lubsko — tenis stołowy itp.). Jak to się dzieje, że województwo wychowało wielu świetnych piłkarzy (przypomnę choćby złoty medal w spartakiadzie młodzieży ze spółu trenera Bolesława Raby), grających dziś w klubach ligowych całego kraju, a Zielona Góra nie może dorobić się II-ligowej drużyny piłkarskiej?

Pytania można mnożyć. Sam red. Roman Siuda wylał sporo atramentu pisząc przez lata o tych sprawach. Nie wiem, czy sternicy zielonogórskiej kultury fizycznej próbują na te pytania odpowiedzieć sobie w codziennej pracy, a nie tylko z okazji zjazdów sprawozdawczych — wyborczych. Ciekawe, jak też te odpowiedzi brzmiały, bo efektów nie widać. A może pytania takie należy zadać nie tylko im. Może na przykład również niegdyśjszemu szefowi zielonogórskiego sportu, który dziś — jak wieść gminna niesie — jest przodu jącym plantatorem drzew owocowych...

KRZYSZTOF HOLYŃSKI



NIEPROSZENI GOŚCIE

Akcja rozgrywa się współcześnie w Hamburgu. Pełno tu cudzoziemców różnych narodowości, przybyłych w poszukiwaniu pracy i lepszych zarobków. Dzielnica zamieszkała przez gasterbeiterów ma swoje problemy. Żyją tu robotnicy głównie pochodzenia azjatyckiego, nazywani przez tubylców „nieproszonymi gośćmi z Azji”.

Niektórzy mieszkają w Hamburgu od wielu lat, pracują, zarabiają. Wydaje się, że w sposób oczywisty weszli do społeczności RFN. Jednak są to pozory. Skaza „nieproszonych gości” jest nie do usunięcia. Asymilacja Azjatów w germańskim społeczeństwie nigdy nie będzie pełna. Gasterbeiter o kolorowej skórze spotyka się z niechęcią i pogardą ze strony Niemców. Ponadto w każdej chwili narażony jest na ekstradycję.

Doświadczają tego dwaj przyjaciele: Shezada i Xiao. Jeden jest Pakistańczykiem, drugi Chińczykiem. Mają trochę pieniędzy i chcą założyć niewielką restaurację. Ich perypetie układają się w wątek filmowy, opowiadany z dużą siłą wyrazu. Film nosi tytuł „Drachenfutter”, co dosłownie daje się przetłumaczyć na „Smocze żarcie” lub „Smoczy żer”.

Film wyprodukowany został wspólnie przez RFN i Szwajcarię. Reżyserował Jan Schutte, który z Thomasem Strittfuszem napisał scenariusz. Aktorzy odtwarzający główne role: Bhasker i Ric Young grają z dużym talentem. Film porusza i przejmując.

OSTATNIA WIECZERZA?

Nie przebrzmiały jeszcze zachwyty filmem „Pożegnanie z Afryką” według powieści Karen Blixen, a oto na ekranie video trafia inny film, nakręcony według noweli tej autorki. Tytuł: „Babette's Feast”, w tłumaczeniu polskim na kasiecie „Uczta Babette”.

W jesienny, chłodny wieczór 1871 roku do małej, luteranckiej osady w północnej Danii przybywa niemłoda, skrom-

nie ubrana, zmęczona kobieta. Jest uciekinierką z Paryża. Swych bliskich oraz wszystko, co posiadała, straciła w wojnie. Szuka kąta, w którym mogłaby się zatrzymać.

Gościny udzielają jej dwie siostry miejscowego pastora. Kobieta ma na imię Babette. Zachowuje się bez zarzutu i powoli wrasta w codzienność osady. Mijają lata i oto nagle przychodzi z Paryża wiadomość, że Babette wygrała wielką sumę na loterii pieniężnej. Los, który posiadała, był co roku prologowany i teraz przyniósł jej główną wygraną.

Wydaje się, że Babette powinna za tę pieniądze wyjechać, urządzić się dostatnio i lepiej żyć. Ale ona postanawia inaczej. Czyni szaleństwo! Całe dzieś tysięcy franków w złocie przeznacza na ucztę. Kupuje najdroższe produkty, przyrządza własnoręcznie wykwintne dania i — zaprasza wszystkich do stołu.

Uczta Babette ma w sobie coś mistycznego, a sama postać bohaterki zawiera odrobinę charyzmy, szaleństwa i nawiedzenia. W ogóle cały film, zrobiony z dużym pietyzmem, przeciętnemu widzowi wydaje się dziwny, może nawet trochę nudny. Jednak poznali się na nim jurorzy na festiwalu w Los Angeles w 1987 roku i nagrodzili go Oscarem.

Tytułową rolę gra Stephane Audran, znana z wielu filmów francuskich, zwłaszcza autorstwa jej męża Claude'a Chabrola. Wśród pozostałych wykonawców o nazwiskach u nas nieznanach — Bibi Anderson. Scenariusz i reżyseria Gabriela Axela, Duńczyka urodzonego i wychowanego we Francji, parokrotnie nagradzanego wcześniej za filmy i sztukę teatralną.

BAJKA DLA DOROSŁYCH

Dawno temu było sobie królestwo Ragniksów. Była to szczęśliwa kraina. Rządziła nią dobra i kochana przez poddanych królowa Canary. Posiadała ona cudowną moc: umiała wpływać na marzenia ludzi. Tajemnicę pięknej Canary odkrył władca sąsiedniego państwa — i pozazdrościł jej. Pomyślał, że jeśli porwie i uwięzi królową, zdoła jej wydrzeć tajemną właściwość. Tak też zrobił. Chcąc zapewnić sobie silne „plecy”, zawarł sojusz z czarownicą Chiną.

Uwięzioną królową Canary znalazła się w położeniu bardzo trudnym. Cier-

piała okrutnie przede wszystkim dlatego, że jej ukochani poddani zostali zaprzęgnięci do niewolniczej pracy. Szczęśliwe królestwo Ragniksów przestało istnieć.

Jednak okazało się, że nie wszystko zostało stracone. Wśród wiernych poddanych królowej Canary znaleźli się dwaj bliźnięcy: Kutchek i Gore. Obaj muskułarni, obdarzeni niesłychaną siłą fizyczną — i psychiczną, przy czym podobni do siebie dosłownie jak dwie kropki wody. Bliźniacy szybko zabrali się do dzieła, toteż bań, jak wszystkie baśnie, kończy się happy-endem.

Film nosi tytuł „Barbarzyńcy” („The Barbarians”), wyprodukowany został w USA, w reżyserii Ruggero Deodato. Wśród wykonawców Virginia Bryant, Richard Lynch, Eva La Rue, a przede wszystkim autentyczny bracia bliźniacy David i Peter Paulowie.

TAJEMNICE KOSMOSU

W Arizonie lądje tajemniczy pojazd powietrzny. Zostaje przetransportowany do hangaru nr 18 w bazie wojskowej, należącej do centrum badań kosmicznych. Pojazd pilotowany był przez dwie żywe istoty. Nie są to ludzie ziemscy. Istoty te znajdujące się w stanie bardzo ciężkim, zostają powierzone lekarzom.

Akcja się komplikuje. Wkrótce mają się odbyć wybory prezydenta (rzecz dzieje się oczywiście w USA). Z tego względu FBI postanawia zdarzenie to okryć ścisłą tajemnicą. Świadczenie lądowania kosmicznego pojazdu, zostają usunięte. Zostaje tylko informacja o katastrofie powietrznej wahadłowca. Ale co z kosmicznymi istotami?

Okazuje się, że ci dwaj, to byli ziemianie. Przed tysiącami lat mieszkali na naszej planecie. Znają pismo Azteków i Majów. Bliskie już jest sensacyjne porozumienie światów, gdy tymczasem nad hangar nr 18 nadlatuje bombowiec sterowany przez FBI, bomba uderza w hangar — i wszystko wylatuje w powietrze.

Reżyseria James L. Conroy. Scenariusz: Robert Vaughn, Gary Collins, James Hampton, Philip Abbott i inni. Można sobie obejrzeć taką historię w upalnym, letnim wieczorze, gdy nie ma nic lepszego do roboty.

EWA

2. VIII — ŚRODA

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Dieta — cud
9.00 Teleferie Najmłodszych „Zgadywanie na ekranie”
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stwórek” — „Przygoda z Indianinem” — serial prod. CSRS
10.10 „Niezwykłe urodziny” — film fab. prod. węgierskiej
16.45 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.30 „Kolumbowie” (1) — „Śmierć po raz pierwszy” — serial TP, reż. Janusz Morgenstern, wyk.: J. Englert, W. Kowalski, J. Matalowski, K. Machowski i inni
18.25 „Z wiatrem i pod wiatr” — mag. żeglarski
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka”
19.10 „Bocznymi drogami”
20.05 Zwierciadło czasu: „Zapomniana melodia na flet” — film fab. prod. ZSRR, reż. Julij Rajzman
22.15 Kroniki PAT — Tak było...
22.30 „Spojrzenia”
23.00 Dt — Echa dnia
23.15 „Historia Bursztynowego Słowika” (2)

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Świat festynów”
19.00 „Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni”
19.30 „Zwierzęta wokół nas”
20.00 „Węgrzy na krawędzi demokracji” — film dok. Czesława Dura
21.00 Publicystyka
21.45 „Z ziemi polskiej” — film dok.
22.15 „W labiryncie” (31) — serial TP
22.45 „Telewizja nocą”
23.30 Komentarz dnia

3. VIII — CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Dieta cud
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rucpca” (6) — „Junga” — serial prod. bułgarskiej
10.10 „Ostatnie spotkanie” — film kryminalny prod. NRD
16.50 „Patrol” — woj. mag. publicystyczny
17.30 „Kolumbowie” (2) — „Żegnaj Baska” — serial TP
18.25 „Gorące linie”
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Cypisek syn rozbójnika Rumcajsa”
19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
20.05 „Głos w telefonie” — film kryminalny prod. CSRS
21.30 Kroniki PAT — Tak było...
21.45 „Pegaz”
22.35 Śpiewa Riki Sorsa
23.05 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy” — serial anim. prod. angielskiej
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (6) — „Czarowne orchidee” — s. przyrodn. prod. CSRS
20.00 Studio Sport — Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Kino Studyjne „Dwójki” — „Kobieta w czerwonych butach” — film fab. prod. franc.-wł., reż. Juan Bunuel, wyk.: Catherine Deneuve, Fernando Rey, Jacques Weber
23.15 Komentarz dnia

4. VIII — PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Dieta cud
9.00 „Zielone Teleferie”
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. TP CSRS
10.10 Dt — Reforma gospodarcza
10.25 „Zdarzenie na szosie E-4” — komedia obycz. prod. CSRS
15.50 „Domator” — Przed weekendem
16.55 „Mieszkańcy” — Wzrost techniki budowlanej
17.30 „Kolumbowie” (3) — „A jeśli będzie wiosna” — serial TP
18.30 „Szkoła mistrzów” — Barbara Sass
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Przygody Gapulki”
19.10 „Monitor rządowy”
20.05 „Cudzoziemka” — film fab. prod. pol., reż. Ryszard Ber w roli gł. Ewa Wiśniewska
21.45 Kroniki PAT — Tak było...
22.00 „Czas” — mag. publicystyczny
22.30 Dt — Echa dnia
22.45 „Świat jaki jest” — „Magnaci heroini” — serial dok. prod. ang.

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Konwój”
19.00 „Wzrostowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
19.30 „Dookoła świata” — „W Panamie”
20.00 „Piątek” — krakowski przekładaniec kultury
21.45 Filmy z Huphreyem Bogartem — „Konwój” — film prod. USA, reż. Lloyd Bacon, wyk.: Raymond Massey, Alan Hale, Julie Bishop
23.55 Komentarz dnia

5. VIII — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobroduszego smoka” — serial prod. węg., „Siedem życzeń” — s. prod. polskiej

- 10.20 VIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Wianów w Powstaniu Warszawskim — woj. pr. historyczny
12.05 „Śladami Odyseusza” (6) — film dok. prod. francuskiej
12.45 Telewizyjny Teatr Prozy: z cyklu „Mówi Chandler” — „Długie pożegnania” (1), reż. Stefan Szlachtycz, wyk.: W. Pyrkosz, J. Tesarz, O. Łukaszewicz i inni
14.00 „Premie i premiery” — rec. Sinity
14.30 Komedia, komedia, komedia... „Milion za Laurę”, reż. Hieronim Przybył
16.05 Losowanie Dużego Lotka
16.15 Butik — pr. Grażyny Szczepniak
17.00 Studio Sport — MS na żużlu, Puchar Europy w lekkiej atletyce
19.00 Dobranoc „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 Sobotni seans filmowy: „Rozległa kraina” — film prod. franc.-aust., reż. Luc Bondy
21.45 Tydzień w polityce
21.55 Teatr TV: Jarosław Haszke „Spotkania ze Szwajcarią” (4) „Feldkurat Katz ma kaca”, reż. Paweł Trzaska, wyk.: Roman Kłosowski, Adam Ferency i Marek Kondrat

- 22.15 Telewizyjny przegląd sportowy
22.35 „Piknik Country — Mragowo '89”
23.45 Kino Sensacji: „Zabójstwo bez zapłaty” — film prod. japońskiej, reż. Kiuji Fukasaka

PROGRAM II

- 13.15 Konkurs 5 milionów
14.00 W świecie ciszy — pr. dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Ordy” — „Dryfujący kontynent” — serial prod. japońskiej
15.25 Spektrum
15.40 „Afrykańskie wodopaje” — film przyrodniczy prod. USA
16.05 „Zielony świat” — Filozofia przyrody
16.35 „Wszelobocne mieczaki” (1) — s. przyrodniczy prod. RFN
16.45 „Dom XXI wieku — konstrukcje”
17.05 Konwój
18.00 Program lokalny
18.30 „Wielka gra”
19.30 „Alfa i omega”
20.00 Studio Sport — MS na żużlu
21.00 „Fama '89” — reportaż
21.45 „Chateauvallon” (13) — serial prod. francuskiej
22.40 Komentarz dnia

6. VIII — NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.05 TTR — sem. II — Zajęcia wakacyjne — Konie
7.25 TTR — sem. IV — Zajęcia wakacyjne — Zaraza ognia
7.45 „Po gospodarsku” — mag.
8.15 „Tydzień” — mag. rolniczy
9.00 Kino Teleferii: „Zwariowane wakacje” — film prod. węg.
10.10 „Z serca czy spod sztachety?” — rep.
10.35 „Ludy Ziemi” (3) — „Japończycy” — serial dok. prod. hiszpańskiej
11.35 „A na polach zniwa” (1) — widowisko
12.35 Telewizyjny koncert zyczeń
13.20 „A na polach zniwa” (2)
14.20 Marek Sierocki zaprasza
14.45 „Goście Pałacu Kieleckiego” — film dok. Macieja Łukowskiego
15.15 Fotomagazyn „Powiększenie”
15.35 „Panna dziewczynka” (12) — serial prod. brazylijskiej
17.30 Studio Sport — Puchar Europy w l. a.
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka „Trzy misie”
20.05 „Światła kabaretów” (4) — serial prod. angielskiej
21.00 „7 dni — Świat”
21.30 Sportowa niedziela
22.30 Kinomania
23.00 Premiery po latach: „Tyś nam obiecał ziemię sprawiedliwą”, reż. Hanna Kramarczuk i Halina Miroszowa
23.30 Telegazeta

PROGRAM II

- 11.00 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
11.35 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów” (4) — serial prod. angielskiej
12.30 „Peryskop” — woj. pr. publ.
13.00 „Jutro poniedziałek”
13.30 Lokalny koncert zyczeń
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Aktualności kulturalne
15.05 „Polacy” — film dok.
15.55 „Być tutaj” — gawęda prof. W. Zina
16.10 Kino „Oko” — kalejdoskop film.
17.00 Konwój
17.30 „Bliżej świata” — przegląd TV - sat.
19.00 Goście Daniela Passenta
19.30 „Im lepiej tym gorzej” — refleksje o polskim teatrze współczesnym
20.00 Studio Sport
21.00 „Fama '89” — reportaż
21.45 „Quinnie” (2) — serial prod. ang.
22.35 Komentarz dnia
22.40 Futurologia na dobranoc

7. VIII — PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.10 Program dnia
17.30 „Kolumbowie” (4) — „Oto dziś” — serial TP

- 18.25 Echa stadionów
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Figlarna małpka”
19.10 „Gorące linie” — publ. międzynarod.
20.05 Spektakl na bis: William Szekspir „Makbet” reż. Krzysztof Nazar, wyk.: Daniel Olbrychski, Joanna Szczepkowska, Karol Strasburger, Jerzy Bińczycki i inni
22.30 Kroniki PAT — Tak było...
22.45 Wolny rynek — fikcja czy szansa?
23.15 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 „Ojczyzna — polszczyzna”
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydz.
19.30 „XIII Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej”
20.00 Teletrans
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.45 Biografie: „Tajemnice życia Siergieja

- 21.35 Kroniki PAT — Tak było...
21.50 „Pegaz”
22.40 „Rok 1939 — ostatni miesiąc pokoju”
23.05 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy” — serial anim. prod. ang.
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (7) — serial przyrodniczy prod. CSRS
20.00 Studio Sport — Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Jerzy Broszkiewicz „Prawdziwe przygody Lemuela Gulliwera”, reż. Stefan Szlachtycz, w roli gł. Jan Günter
22.50 Komentarz dnia

11. VIII — PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Aerobik z Mariolą
9.00 „Zielone Teleferie”
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. CSRS

- 10.10 Dt — Dodatek gospodarczy
10.25 „Honor dziecka” — komedia prod. pol., reż. Feridun Erol
15.40 „Domator” — Przed weekendem
16.45 „Z Polski rodem” — mag. polonijny
17.30 „Polskie drogi” (3) — „Najspokojniejsze miejsce na świecie” — s. TP
19.00 Dobranoc „Przygody Gapulki”
19.10 „Monitor rządowy”
20.05 Prapremiery: „Statek szaleńców” — film prod. USA, reż. Stanley Kramer, wyk.: Vivien Leigh, Oscar Werner, Simone Signoret, Lee Marvin
22.30 Kroniki PAT — Tak było...
22.45 „Czas” — mag. publicystyczny
23.15 Dt — Echa dnia
23.30 „Świat jaki jest” gorzki smak herbaty — film dok. prod. ang.

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 Konwój
19.00 Wzrostowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
19.30 „Dookoła świata” — W Tunezji
20.00 Program rozrywkowy
20.50 „Antyczny świat prof. Krawczuka”
21.45 Zespół Adwokacki „Dyskretna” — program kabaretowy
22.30 Filmy z Huphreyem Bogartem — „Mieć i nie mieć” — film prod. USA, reż. Howard Hawks
0.10 Komentarz dnia

12. VIII — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobroduszego smoka” oraz „Siedem życzeń” (4)
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.15 „Azymut” — program wojkowy
11.45 Telewizyjny koncert zyczeń
12.15 „Śladami Odyseusza” (7) — „Powrót do Itaki” — film dok.
12.55 Telewizyjny Teatr Prozy: z cyklu „Mówi Chandler” — „Długie pożegnania” (2), reż. Stefan Szlachtycz, wyk.: W. Pyrkosz, J. Tesarz, O. Łukaszewicz i inni
14.55 Komedia, komedia, komedia... „Sprawa do załatwienia”, reż. Jan Rybkowski, wyk.: Gizela Piotrowska, Adolf Dymasz
16.30 Losowanie Dużego Lotka
16.40 „Tele show — Kto pierwszy?” (1)
18.05 „Zanim zabrzmią jej pieśni” — rep.
18.30 „Butik” — pr. Grażyny Szczepniak
19.00 Dobranoc „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 „Na imię mi dala Te Deum” — francuski film fab. w roli gł. Jacka Palanca
21.40 Teatr TV: Jarosław Haszke — „Spotkania ze Szwajcarią” (5)
21.55 „Tydzień w polityce”
22.05 Telewizyjny przegląd sportowy
22.30 „Szafa — 2” — pr. rozrywkowy
23.10 Telegazeta
23.15 Kino Sensacji: „Oszukany” — film prod. USA, reż. Don Siegel, wyk.: Clint Eastwood, Geraldine Page

PROGRAM II

- 14.30 „Konkurs 5 milionów”
15.15 „Barjery”
15.45 Małe Kino: „Krajobraz z kolumnami” — film dok.
16.15 „5 - 10 - 15” — pr. dla dzieci i młodz.
17.00 Konwój
18.00 Program lokalny
18.30 Godzina z Franciszkiem Pieczką
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Filharmonia „Dwójki”
20.40 Studio Sport
21.45 „Chateauvallon” (14) — francuski serial filmowy
22.40 Komentarz dnia

13. VIII — NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.05 TTR — Zajęcia wakacyjne, sem. II
7.25 TTR — Zajęcia wakacyjne, sem. IV

- Sposoby oszczędzania ciepła w szklarni
7.45 „Po gospodarsku” — mag.
8.15 „Tydzień” — mag. rolniczy
9.00 Kino Teleferii: „Krzyżacy” (1), reż. Aleksander Ford
10.35 „Ludy Ziemi” (4) — „Anglicy” — hiszpański film dok.
11.35 „Kraj za miastem”
12.05 Telewizyjny koncert zyczeń
12.50 „Antarktyczny rok” — film dok.
13.20 „Opole '89” — Krajowa Scena Młodzieżowa
14.00 Magazyn „Morze”
14.20 „Gdzie są tasmę z tamtych lat”
14.50 „Pieprz i wanilia” — „Nieznany kraj”
15.35 „Panna dziewczynka” (13) — brazylijski serial filmowy
17.30 „Smak życia” — pr. publ. kulturalnej
18.10 Studio Sport
18.40 „Antena”
19.00 Wieczorynka „Trzy misie”
20.05 „Światła kabaretów” (5) — ang. serial filmowy
21.00 „7 dni — Świat”
21.30 Sportowa niedziela
22.35 Kinomania
23.05 Telegazeta

PROGRAM II

- 11.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
12.00 Film dla niesłyszących — „Światła kabaretów” (5)
12.35 „Krótkofalowiec”
13.25 „Jutro poniedziałek”
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych — reportaż
15.05 „Polacy” — film dok.
15.55 „Być tutaj” — gawęda prof. W. Zina
16.10 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie”
17.00 Konwój
17.30 „Bliżej świata” — przegląd TV - sat.
19.00 Wywiady Ireny Dziedzi
19.30 W Paru Łazienkowskim gra Anna Jastrzębska
20.00 Studio Sport
21.00 Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych
21.45 „Queenie” (3) — ang.-amerykański serial filmowy
22.40 Komentarz dnia
22.45 Futurologia na dobranoc

14. VIII — PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.10 Program dnia
17.30 „Polskie drogi” (4) — „Na tropie” — serial TP
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „O Fromie i Jeromie”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Spektakl na bis: Nikołaj Erdman — „Samobójca”, reż. K. Kutz, wyk.: Janusz Gajos, Elżbieta Karkoszka, Izabela Olszewska
22.35 Kroniki PAT — Tak było...
22.50 „Babilon” — film dokumentalny
23.20 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 „Ojczyzna — polszczyzna”
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydz.
19.30 „Schola Cantorum Gedanensis” — program muzyczny
20.00 Teletrans
20.30 Program publicystyczny
21.15 „Zamyślenia” — pr. H. Wasilewskiej
21.45 Biografie: „Anna Achmatowa — requiem” — film dok.
22.15 Komentarz dnia

15. VIII — WTOREK

PROGRAM I

- 9.00 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (4)
10.30 „Rzeka — ludojad” — ang. film dok.
11.30 „BIM, czyli...” — reportaż
12.30 Marianna Wiśniewska — film dok.
12.55 Marek Sierocki zaprasza
13.25 „Z Polski rodem” — Polscy plastycy w Austrii
13.55 „Z wiatrem i pod wiatr” — mag. żeglarski
14.25 „Z pol i łak zielonych” — film dok.
14.45 Teatr TV: Roman Niewiarowicz — „Gdzie diabeł hie może...” reż. Janusz Kidawa
16.15 „Letnie spotkania w Sannikach” — program muzyczny
16.35 „Biogolawiony brat Albert” — film dokumentalny
17.30 „Gdzie są tasmę z tamtych lat”
17.45 „Polskie drogi” (5) — „Lekcja geografii” — serial TP
18.00 Wieczorynka „Trzy misie”
20.05 „Akwen Eldorado” (1) — serial TP, reż. Andrzej Swat, wyk.: Artur Dziurman, Łukasz Rybicki
21.00 Kroniki PAT — Tak było...
21.15 „Szkoła mistrzów” — Andrzej Brzozowski
21.30 Helena Vondraczkova — pr. rozr.
22.15 „Wszystko jest dobre, co jest Polską” — reportaż

PROGRAM II

- 13.10 „Konkurs 5 milionów”
14.00 „Droga na Rzym” — film dok.
15.10 „Pęknięte niebo” — rec. M. Grechuty
15.40 „Jak ptaki wracają” — pr. publ.
16.15 „Dodek na froncie” — polski film archiwalny, reż. M. Waszyński
17.40 „Violetta” — reportaż
18.00 Jacek Mierzejewski w Muzeum Narodowym
18.40 „Być tutaj” — gawęda prof. W. Zina
18.55 „Wojna domowa” (13) — „Nowy nabytek” — serial TP
19.30 „Blisko nieba” — Na skrzydłach
20.00 „Lacut '89” — rep.
21.00 Studio Sport
21.45 Studio „Solidarność”
22.30 „Jak po maśle” — francuski film fab., reż. Nina Campanez
0.05 Komentarz dnia

● Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonywane przez TVP w ostatniej chwili.

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bonarów Stalnego 13 i piętro oraz dla korespondencji 65-958 Zielona Góra 4 skrytka pocztowa 40. Telefon: redakcji naczelnicy 708 35, 7-ca red. naczelnego 19 13, 0-ca 14-61, do 61 (dla telefonów wewnętrznych) 704 52 53. REDAKCJA: KOLEGIUM: Halina Aćka-Skarbek, Janusz Kozłowski (red. naczelnicy) Zenon Łukaszewicz (2-ca red. naczelnego) Krzysztof Holyński Wiesław No-

dziński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.) Koreskta Beata Bartosiewicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe”. Niewpłacono 15.05-94 Zielona Góra 4 skrytka pocztowa 31. Centrala telefoniczna: 44-61 do 61. Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-83. Drukarnia Prasowa ZWP 45-074 Zielona Góra ul. Reja

OGŁOSZENIA przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i zdjęcia) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów. K-20

Lato krzyżówka

TRZY NAGRODY — NIESPODZIANKI (BARDZO ATRAKCYJNE) ZOSTAŁY UFUNDOWANE PRZEZ OGÓLNOKRAJOWĄ SPÓŁDZIELNIĘ TURYSTYCZNĄ „GROMADA” — ODDZIAŁ OKRĘGOWY W ZIELONEJ GÓRZE.

Rozlosujemy je wśród tych Czytelników, którzy w terminie do dnia 21 sierpnia br. (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali do naszej redakcji prawidłowe rozwiązanie — hasło. Na kopertę lub kartę pocztową prosimy nakleić wydrukowany poniżej kupon. Życzymy przyjemnej zabawy a następnie szczęścia w losowaniu.

opr. STANGAR

Litery w prawym dolnym rogu od 1-33 utworzą dalszą część hasła znajdującego się na znaczniku w diagramie.

POZIOMO: 1. miejscowość na granicy NRD, 5. kobieta na koniu, 11. bunt, 12. prawo odnoszące się do rozróżnień doskonałych, 13. miasto w Mozambiku, 14. buty wojakowe, 17. rzemieślnik, 20. kłatwa kościelna, 21. próżniak, 23. krzew uprawiany dla garbnika, 24. kule, 25. utwór poetycki, 27. poeta francuski (1639-99), 28. zobaczyć i umrzeć, 29. blizna, 30. mąż, 32. stolica Kenii, 36. do dmuchania, 39. dawna miara odległości, 41. kraj na półwyspie Indyjskim, 42. najazd, 43. małe okienko w dachu, 44. niepoń, urwiszek, 45. przedmiot w muzeum.

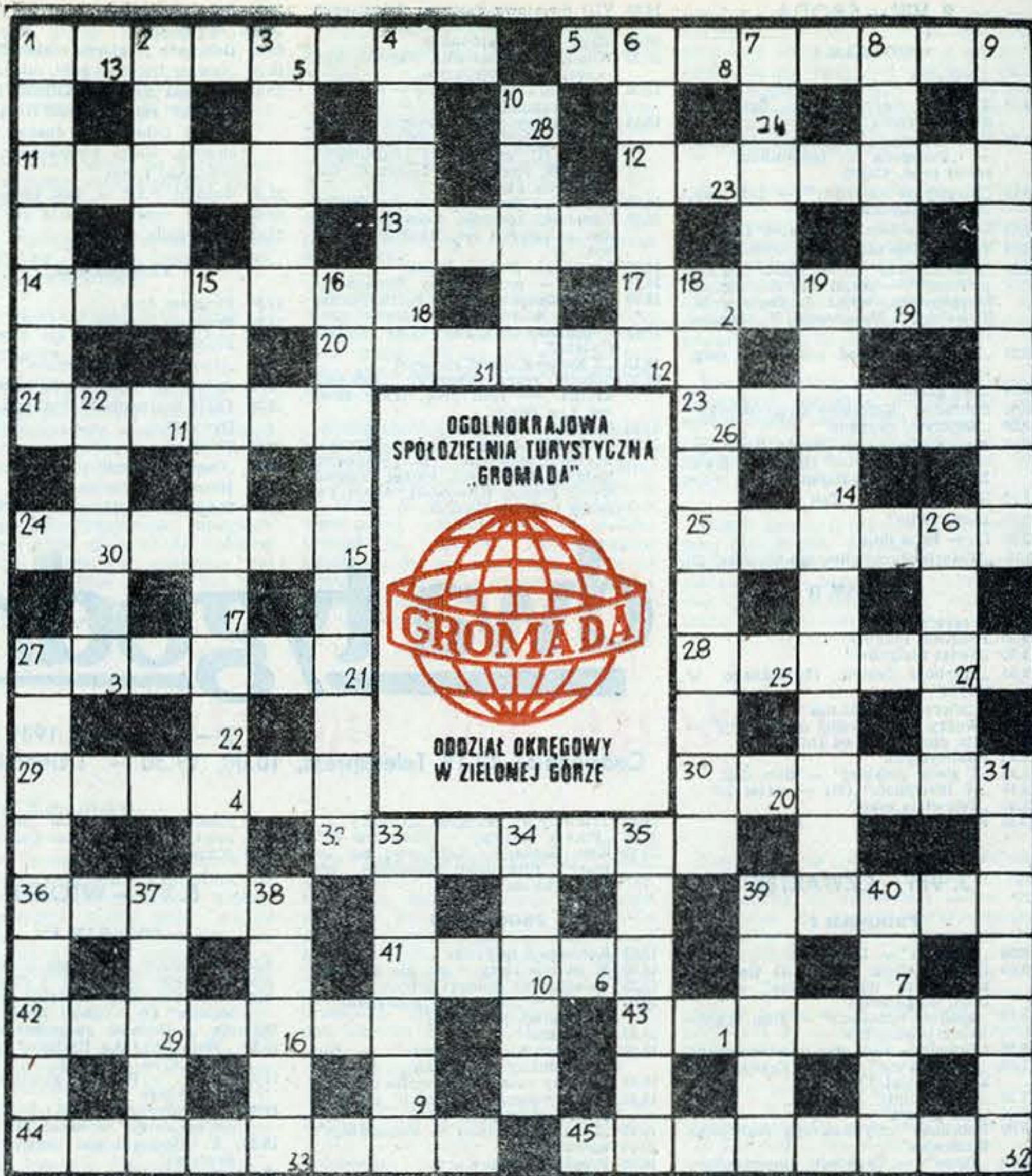
PIONOWO: 1. wóz pogrzebowy, 2. wynalazca dynamitu, 3. do ślubu, 4. dawny pałacyk owiec w stepach, 6. ogólne w: panie organizmu, 7. pierwiastek chemiczny, 8. syntetyczne tworzywo, 9. igława, 10. glob ziemski, 15. sadownictwo, 16. rodzaj betonu, 18. dzielnica Łodzi, 19. uosobienie, charakter, 22. wyspa hiszpańska, 27. imię żeńskie, 27. forma ustroju państwowego, 31. samochód z NRD, 33. stopy miedzi i cyny, 34. urządzenie radiolokacyjne, 35. birkut, 37. druga żona Oktawiana, 38. miano, tytuł, 39. pogardliwe o Niemcu w czasie II wojny światowej, 40. miasto w stanie Ohio.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 14

Hasło: „Na urlop po wypoczynku za wsze z polską PZU”. Wpłynęło 161 prawidłowych rozwiązań.

Nagrody: bony oszczędnościowe PKO na kwotę 10 000 zł każdy ufundowane przez Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Zielonej Górze wylosowali: Janusz Grochowski — (Walczyk Wiktor) Lwyrnowicz — (Zielona Góra) Anna Makowska — (Gorzów Wlkp.)

Serdecznie gratulujemy!



Moja Głębokość

RAZ JESZCZE O WYBORACH. Stefan Niesiołowski w „Tygodniku Solidarności” (nr 5) snuje aktualne refleksje pt. „Nie mogę o tym nie mówić”, stwierdzając m.in.: „Historia nigdy nie była sprawą niedzielną. I także banalna prawda, że niechcący przyjemna dla świeżo wybranych posłów, senatorów, że najprawdopodobniej nawet koł, gdyby został wystawiony na listę wyborczą Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, to miałby ogromne szanse”. Nawet koł...?

DRGNEŁO W TURYSTYCE. Pod takim tytułem poznański tygodnik „Wprost” (nr 28) zamieszcza notatkę: „Czytamy w „Gazecie Lubuskiej”: „Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Krośnie zgłasza za drewno, zwłaszcza dębowe, dopłaty w dolarach, czyli tzw. wsadu dewizowego. Tymczasem specjalnością rymano wiskich stolarzy jest wyrób trumien”.

Wreszcie każdy mieszkaniec Rymanowa może liczyć na przynajmniej jedną podróż za dewizy. W dzisiejszych czasach dobre i to...

POLAK POTRAFI. W tym samym numerze tygodnika „Wprost” Władysław Baliński publikuje artykuł zatytułowany „Polak potrafi, ale...”, umieszczając taki oto obrazek: „...byłem świadkiem takiego oto zdarzenia. Stacyjka kolejowa pod Sulechową. Marcewka zadykała śnieżną. Przed stacją pociąg pociąg osobowy, który miał dojechać do Sulechowa i wrócić do Poznania. Nie mógł ruszyć, gdyż zasypanej lepkim śniegiem szynownicy nie można było przestawić. Wystarczyło jednak przejść się kawałek wzdłuż toru z miotłą, w warunkach trudnych, bo w śniegu i po ciemku, wynieść śnieg spod szyn. Obługa stacji, a także obsługa pociągów, nie podjęła się roboty. Wezwano specjalną ekipę, która mogła dotrzeć za kilka godzin”. Polak potrafi, ale nie musi.

SZCZERZE. Również w tym samym numerze tygodnika „Wprost” Andrzej Ponięcki, kompozytor i piosenkarz w rozmowie pt. „Schedzenie na ziemię” wyznaje Irenei Niemiec-Adamskiej: „Studia skończyłem z boską pomocą”. Przysłał świąteczki?

SPROSTOWANIE DO „ZNAKÓW GRANICZNYCH.” Do najnowszej książki Alfreda Siateckiego wkładają się pewne niescisłości. Na prośbę jednego z ostatnich żyjących żołnierzy sławnego oddziału majora Hubala, soltyśa wsi Lubniewice — Zygmunta Woźniakowskiego, o którym autor wspomina w swej książ-

ce, informujemy, że poległy w czasie wojny brat Zygmunta miał na imię Marian, a nie Mieczysław, jak kilkakrotnie wydrukowano, nie „zmarł on na rękach Jadwigi”, późniejszej żony Zygmunta, a ponadto — wbrew stwierdzeniu Siateckiego — sceny śmierci Mariana nie ma w filmie Bohdana Poręby pt. „Hubal”.

PROHIBICJA! Skoro już wspomnieliśmy o Lubniewicach, to warto poinformować wszystkich wybierających się do tej miejscowości na wczasy, iż w lipcu wprowadzono tu prawie całkowitą prohibicję. W żadnym ze sklepów prowadzonych przez sekcję Gminną Spółdzielnię nie można było nabyć jakiegokolwiek flaszki gorzalki. Owszem, na półkach stały dwulitrowe butle zagranicznego wina w beńce powyżej 13 tysięcy złotych każda, zaś w jedynej knajpie tego czasowiska była wódka, ciepła jak lura i mocno droższa bo gastronomiczna. Nic, tylko pogratulować zarządowi sekcji Gminnej GS, która wie, jak zwalczać plagę pijanstwa i napełniać kabze wyższym zyskiem. Przedsiębiorcy handlowi proponujemy dalsze innowacje: wycofać ze sprzedaży sklepowej chleb i mleko. Niech ludzie kupują w kanjapach i więcej płacą.

NIE CHCĘ BYĆ PREMIEREM. Miesiącnik „Konfrontacje” (nr 6) publikuje odpowiedź uczniów klas maturalnych na pytanie łódzkiego socjologa dra Edmunda Lewandowskiego „Gdybyś był premierem”. Oto wybrane dwie odpowiedzi: „Nie wierzę, że premier PRL może prowadzić własną politykę. Dlatego nie przyjąłbym tej funkcji”. „Dla mnie osobiste jest bardziej interesujące, co mogę zrobić nie będąc premierem, niż będąc nim. Mogę mianowicie przez wiele lat intensywnych studiów osiągnąć taki stopień profesjonalizmu, że choćby nie chciano, to trzeba by było zaakceptować mnie bez względu na poglądy, jakie bym głosił. Tego samego życzę premierowi. Tylko durnie i niedouki bardziej zwracają uwagę na słowa, niż na ich treść”. Nie ma chętnych na fotel premiera. Wśród młodych.

MŁODY POETA SFRUSTROWANY. W „Tygodniku Kulturalnym” (nr 29) wiersze zapewne bardzo młodego poety Jana Bieli, a wśród nich wstrząsający utwór pt. „Moja wina”: „Spowiadam się sobie / samemu wszechmogącemu / że straciłem wiarę / w siebie / nie żałuję że czyniłem zła / nie żałuję że czyniłem dobrze / tylko żałuję / że tak mało / tak bardzo mało / mam do stracenia”. My też żałujemy, solidaryzując się ze zrozpaczonego poetą.

OFERTY. Nastąpiły takie czasy, że pisarze publicznie oferują swój towar, czyli nowe książki. Zdzisław Smekeła z Wrocławia na łamach miejscowej gazo-

ty szuka sponsorów, aby wydać powieść obrachunkową ze stalinizmem, w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 29) sędziwy Zbigniew Bieńkowski w stałym felietonie „Poezja i niepoezja” też sięga po podobny środek reklamy. „Postępujęm się felietonem — pisze — by przedstawić własną książkę. Jest to bowiem wstęp do zbioru szkiców literackich, które poświęciłem nurtowi kresowemu i nurtowi chłopięcej literatury współczesnej. Książka ma 250 stron i nosi tytuł „Przyszłość przeszłości”. Zamierzam ją opublikować i szukam wydawcy. I ten felieton jest właśnie wydaniczą ofertą. Zgłoszenia proszę przysłać pod adresem redakcji”. Kto następny?

REFLEKSJA NA CZASIE. Zdzisław Borodaj, omawiając na łamach „Więzi” (nr 4) nową książkę Adolfa Rudnickiego, wyznaje m.in.: „...piszący te słowa bardzo źle znosi publiczne obrachunki literatów, ongiś urzeczonych estetyką i filozofią doktryny, obecnie zaś bez parady do przeszłości. Nie, nie swojej — kołegów po piórze. O sobie mówią półgębkiem i nader enigmatycznie”. Bo tacy skromni.

SZCZĘŚCIE POKRZYWY. Z Anną Prucną, aktorką i piosenkarką, rozmawia Barbara Fletkiewicz („Polityka” nr 30).

„B.P. — Pani uzyskała to, co było moim wielkim marzeniem: została pani solistką Teatru Wielkiego w Warszawie.

A.P. — Zostałam „siódmym sopranem”, wśród solistek. Ale skończyło się na szczęście, na próbach. Nie mam temperamentu śpiewaczki operowej.

— Jak to, pani nie ma?...

— Wyobraź sobie pani jako diwę operową, śpiewającą tylko i wciąż arie?

— Nie wyobrażam sobie. Jak panią kiedyś usłyszałam śpiewającą piosenkę o czerwonym kapturku, pomyślałam sobie: ona się nada do opery, jak ja do gazety.

— Ależ ja właśnie śpiewałam w operze. Kocham operę, ona wiele razy mi w życiu pomogła...”

Skończyła się na próbach, bo nie miała temperamentu śpiewaczki operowej, a jednak później śpiewała w operze. Kobieta i tak! Prawdy nie powie...

Muzykolandia

*** LA TOYA JACKSON** — 32 letnia siostra Michaela Jacksona, starsza o niego o 2 lata, która równo rok temu opuściła 22 pokojową posiadłość klanu Jacksonów w kalifornijskim mieście Encino i wynajęła apartament w nowo jorskim hotelu „Waldorf-Astoria” (1200 dolarów za dobę), potem kupiła mieszkanie z sześcioma sypialniami (za 3 mln dolarów) i zamieszkała z b. właścicielem domu publicznego Jackiem Gordonem, a następnie zaczęła pozować do bardzo „rozebranych” zdjęć w „Playboy’u”, oświadczyła prasie, że nie ma sobie nic do zarzucenia, ponieważ nie pije, nie pali, nie używa narkotyków, dużo pracuje, jest wegetarianką, a „chyba nie jest hanbą, gdy kobieta okazuje dumę z posiadania pięknego ciała”.

*** REGINE** — królowa francuskich dyskotek rozsianych po świecie od Paryża po Nowy Jork i Rio de Janeiro, menagerka i piosenkarka, autorka autobiograficznej książki wydanej w Londynie pt. „Mów mi po imieniu”, przyjaciółka m.in. Brigitte Bardot, Madonny, Jacqueline Kennedy oraz rodzinny milioner Rotszyldów i książęcy Gaibaldich, właścicielka ogromnego biznesu rozrywkowego od 1953 roku, jest, jak się okazuje, Polką, a właściwie polską Żydówką, urodzoną w 1929 roku w Łodzi i naprawdę nazywa się Regina Zylberberg.

*** DAWID BOWIE** — super-gwiazdor muzyki rockowej, (w styczniu br. ukończył 42 lata), po rozwodzie z Angeli Barnett, z którą ma 17-letniego syna dwójga imion Zowie-Bowie, ożenił się niedawno po raz drugi, tym razem z Melissą Hurley, młodszą od siebie o 18 lat, a w uroczystościach weselnych urządzonych na Wyspie Komarów na Karaibach, gdzie od lat Bowie ma swój dom, wzięli udział m.in. Mick Jagger ze swą przyjaciółką, modelką Jerry Hall, Eric Clapton, brytyjska księżniczka Małgorzata, no i oczywiście Tina Turner.

*** DENISE GRAY** — aktorka francuska o mało znanym nazwisku, nagrała niedawno piosenkę, której tytuł w polskim tłumaczeniu brzmi „Być starszą” — i tą piosenką zrobiła prawdziwą karierę, mając za sobą wiele, wiele lat grywania w filmach ról trzecio i czwartorzędnych oraz epizodów w teatrze, a fakt, że wysunęła się dopiero teraz na plan pierwszy o tyle zasługuje na uwagę, że Denise jest autentyczną starszuską, babcią, prababcią i liczy sobie 92 wiosny, choć wcale na to nie wygląda.

*** BARBRA STREISAND** — obecnie 46-letnia (ach, ten czas!) piosenkarka i aktorka, o której się mówi, że jest posiadaczką najpiękniejszego głosu świata, artystką o nieprawdopodobnej muzykalności i wrażliwości, także ogromnym wdziękiem, powiedziała o sobie na łamach „Paris Match’a”: „Nie jestem za zdradą ani zawistą, nie uczucia są mi obce... Kiedy spotkam kogoś dobrego i przyjaźnie do mnie usposobionego, do słownie stoję na głowie, żeby się do niego zbliżyć... Moją ulubioną postacią w młodości była Scarlett O'Hara z powieści i filmu „Przeminęło z wiatrem”... Miłość publiczności nie jest w stanie zastąpić miłości jednej osoby... Muszę przyznać, że prawdziwej miłości chyba jeszcze nie zaznałam...”

*** RAP** — na naszych estradach i ekranach wciąż nieobecny, a na Zachodzie bardzo popularny gatunek muzyki, w której liczy się gadanie, zaś podkład muzyczny jest jedynie słabym tłem. Jest jak dotąd muzyką przeważnie czarnych (wśród nielicznych białych rapów należą wymienić trio „Beastie Boys”) a ponadto godne uwagi są tu trzy dziewczyny: Cheryl James, Sandy Dentor i Daj Spinderella, tworzące trio wokalne rap, zorganizowane w Nowym Jorku przez producenta Hurby Asora i w szybkim tempie nagrywające płyty za płytą: „It's Beat”, „Tramp”, „Push It”, wreszcie „Hot, Coll and Vicious”.

*** SADE ADU** — egzotyczna, tajemnicza, niesamowita, podniecająca, raz drapieżna, innym razem ciepła i liryczna, ma wielu wielbicieli, ale też wielu przeciwników, przy czym jedni i drudzy przyznają, że w dobie muzyki wzmacniającej sztucznie i bardzo hałaśliwej, Sade jest wokalistką wyjątkową; śpiewa od 1983 roku, a jej przeciwnicy twierdzą, że przez tych kilka lat niczego się nauczyła i wręcz „nie ma pojęcia o źródłach popu i rocka”, natomiast zwolennicy zachwycają się jej długimi longplayami Sade, z których ostatni zatytułowany „Stringer Than Pride” zaraz po ukazaniu się, bez konferencji prasowych i towarzyszącego zwykłym płytom promocyjnego tournée, znalazł się na trzeciej pozycji w „Music Week”.

*** MAJKA JEZOWSKA** — piosenkarzka, która od pewnego czasu śpiewa nie ma wyłącznie własne piosenki adresowane do dzieci (oraz ich rodziców), przyznała przed kamerami TV, że jest podobna do Cindy Lauper — ekstrawaganckiej, amerykańskiej wokalistki; z drugiej strony ciekawe byłoby dowiedzieć się, czy Cindy Lauper wie o swym podobieństwie do Majki Jezowskiej (która n. b. jest b. laureatką Festiwalu Piosenki Radzieckiej: w 1978 r. reprezentowała woj. nowosądeckie wraz z zespołem „Imago” z Domu Kultury „Kolejarza”, będąc wówczas 18-letnią maturzystką).